



ODRODZENIE

T Y G O D N I K

Nakład:
40.000
Redakcja:
Jaszyńskiego 16
Administracja:
Jaszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok V

Warszawa, dnia 25 lipca 1948 r.

Nr 30 (191)

JERZY ANDRZEJEWSKI OTRZYMAŁ NAGRODĘ „ODRODZENIA”

Jury nagrody „Odrodzenia” w składzie: Zofia Nałkowska, Tadeusz Breza, Jarosław Iwaszkiewicz, Juliusz Kleiner, Julian Krzyżanowski, Kazimierz Wyka i Stefan Żółkiewski na posiedzeniu w dniu 20 lipca 1948 r. uznało większością głosów za najwybitniejszą pozycję literacką ostatniego roku powieść

JERZEGO ANDRZEJEWSKIEGO „POPIÓŁ I DIAMENT”

oraz postanowiło przyznać mu tegoroczną nagrodę „Odrodzenia” w wysokości 250 000 zł

Kontrkandydatami do nagrody byli w kolejności otrzymanych punktów:

- | | |
|-----------------------|-------------------------|
| 1. ADOLF RUDNICKI | — „Szekspir” |
| 2. TADEUSZ BOROWSKI | — „Pożegnanie z Marią” |
| 3. HELENA BOGUSZEWSKA | — „Czekamy na życie” |
| 4. KSAWERY PRUSZYŃSKI | — „Karabela z Meschedu” |
| 5. LUCJAN RUDNICKI | — „Stare i nowe” |

POZA TYM WYRÓŻNIONO NASTĘPUJĄCE KSIĄŻKI, KTÓRE PODAJEMY W PORZĄDKU ALFABETYCZNYM:

Kazimierz Brandys — „Samson”
Jerzy Broszkiewicz — „Oczekiwanie”
Halina Maria Dąbrowska — „O Karolu Irzykowskim”
Maria Dłuska — „Wersyfikacja polska”
Stanisław Dygat — „Pożegnania”
Paweł Hertz — „Sedan”
Ludwik Hirsfeld — „Historia jednego życia”
Stefan Kisielewski — „Zbrodnia w dzielnicy północnej”
Jan Kott — „O Lalce Prusa”
Wacław Kubacki — „Krytyk a twórca”



Michał Rusinek — „Prawo jesieni” i „Igraszki nieba”
Stefan Szuman — „O istocie i kunszcie poezji lirycznej”
Władysław Tatarkiewicz — „O szczęściu”
Wojciech Żukrowski — „Piórkiem flaminga”
Miroslaw Żuławski — „Ostatnia Europa”
Joanna Żwirska — „Cienie ojczyzny”

*

Przypominamy, że nagrodę „Odrodzenia” ufundowała w 1945 roku Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” i że pierwszym jej laureatem był Tadeusz Breza, autor „Murów Jerycha”, następnie zaś w r. 1947 Jarosław Iwaszkiewicz za „Nowele włoskie” i „Nową miłość”

JERZY ANDRZEJEWSKI



A. M. SWINARSKI

BALET DOMU WOJSKA POLSKIEGO



Mikołaj Kopiński

1

Po wielu zapowiedziach, po długotrwałych naradach, selekcjach i próbach, po kilku homeopatycznych próbach publicznych, pokazanych dla podniecenia w nas ciekawości i apetytu, wystąpił nareszcie, zapowiedziany picassowatym afiszem, wpraw w Wawelu w ramach „Dni Krakowa”, a teraz w Warszawie — Balet Domu Wojska Polskiego.

Już z jego pierwszego popisu nie trudno wywróżyć, że balet ten będzie mógł nosić nazwę **Baletu Polskiego**. Nie szafujemy takimi tytułami jak „balet narodowy” lub „balet reprenzacyjny”; nadużywanie ich przed wojną dostatecznie. A tytuł „Balet Polski” jest zaszczytny — i odpowiedzialny.

Ze względu na ważkość wydarzenia wymieniamy nazwiska wszystkich, którzy ten balet tworzyli. Kierownik zespołu artystycznego Domu Wojska Polskiego (orkiestra, chór, balet): Teodor Ratkowski. Kierownik artystyczny: Jan Zelnik. Dyrygenci: Teodor Ratkowski i Marian Lewandowski. Baletmistrz: Mikołaj Kopiński. Scenograf: Marian Bogusz. Tancerze i tancerki (w porządku alfabetycznym, bez uwzględnienia szarzy, stopnia czy klasy): Zbigniew Cichocki, Antoni Kalinowski, Zbigniew Kiliński, Wacław Łukasiak, Kazimierz Redziński, Krystyna Buddecka, Lucyna Drzewiecka, Stanisława Górzyńska, Halina Koszałkówna, Irena Koszałkówna, Halina Maculewicz, Zofia Malinowska, Alicja Marczak, Maria Palulis, Florentyna Puchówna, Wiesława Sadurska, Lidia Skrzypkówna, Krystyna Sosnowska, Krystyna Stankiewicz, Halina Sciborówna, Władysława Vetterówna, Henryka Zaborowska i Natalia Żukow.

Należy przypomnieć, że z tego zespołu baletmistrz Kopiński, Puchówna, Kiliński i Mróz należeli do Baletu Polskiego, który zorganizowany przez Arnolda Szyfmana i Bronisławę Niżyńską, wyjechał Grand Prix na paryską Wystawę Światową w roku 1937. Inni byli członkami Baletu Parnella w okresach jego największej dojrzałości.

2

Tak się już składa, że literaci dają się patrzeć na odtępnioną literaturę. Kto miał sposobność oglądania „obrazów tanecznych”, jak „Kuszenie szatana” albo „Lech, Czech i Rus” w ostatnim programie Parnella, ten nas zrozumie. Toteż z pewną obawą czekaliśmy na „Janka muzykanta”, fantazję baletową na temat noweli Henryka Sienkiewicza (Libretto i insceni-

zacja Zelnika, Kopińskiego i Bogusza).

Ale nie jesteśmy uparci. Bo okazało się, że inteligentny literat, kulturalny choreograf i pomysłowy malarz potrafił dokonać nawet tak ryzykownej próby, jak przetransponowanie cikliwej noweli na balet. A wybrnęli z ryzyka po prostu w ten sposób, że nie zostawili z Sienkiewiczem prawie nic: w noweli Jankowi nie udaje się ukończyć skrzypiec, w balecie owszem; w noweli Janko nie potrafi urzeczywistnić swych marzeń, w balecie owszem — przynajmniej na długość... jednego baletu; w noweli Janko umiera zbity i skopany, w balecie (jak głosi komentarz autorów w programie): „Janko wraca do lasu, gdzie mu nikt nie przeszkodzi przynajmniej marzyć o muzyce”. To co prawda nie „happy end”, ale też nie melancholijny finał noweli: „Nad Jankiem szumiały brzozy...” Jeżeli w ten sposób podchodzi się do literatury, to można ją nawet odtępnąć...

Drugie ryzyko: tytułowa partia powierzona młodzieńcowi tancerzowi, Edmundowi Nowakowi (bratu pysznej Janiny, na której powrót z granicy czeka z utęsknieniem polski balet).

Gdy krótko przed pierwszą wojną światową Balet Rosyjski w Paryżu nosił się z zamiarem wystawienia nowego baletu Ryszarda Straussa „Legendy o Józefie”, długo debatowali baletmistrz nad tym, w czyje ręce i nogi oddać rolę chłopięcego pastuszka Józefa (chodzi o tego kuszono w Egipcie przez Putyfara); czy dać ja staremu, rutynowanemu wyde, który na pewno zatańczy doskonale, ale

Edmund Nowak miał to szczęście, że nad pierwszymi jego krokami, czyli „pas”, czuwał Kopiński i do tej pory nie wypuścił go spod swojej opieki. I Kopiński zarzykował. Nie wiem, czy ten balet napisano specjalnie dla Nowaka; ale warto było to uczynić. Nowak jest wyjątkowo muzykalny, żywiołowy, precyzyjny w robocie, a jego skoki będą wkrótce takie sławne jak skoki jego pysznej siostry Janiny (na której powrót z granicy czeka z utęsknieniem polski balet i Kopiński).

Zwracam uwagę na dobrą koncepcję baletmistrza: grę na skrzypcach kazał Kopiński tancerzowi wyolbrzymiać ruchami całego ciała, kazał odrywać często smyczek od skrzypiec, jak gdyby mu one nie wystarczały, i szukać strun w powietrzu, kazał dyrygować nie grać — i to wszystko właśnie czyniło z muzyki Janka wyrazistą, pełną głębi metaforę.

Wywołała ta muzyka, na seansie sennym i na jawie, postaci z różnych stron Polski i złączyła w symbolicznym korowodzie. Oslabił jego siłę niestety sam finał, króciutki, na szczęście, dorzucony łopata... jak gdyby się autorem baletu nie w porę przypomniał Sienkiewicz. Po co niweczyć zwycięstwo Janka i jego muzyki? Po co jasną wypowiedź utworu banalizować takim morałem? Po co stawiać kropkę nad takim „i”, którego już nie ma w naszym alfabetcie?

Muzyka Janka wywołała na scenę prawie cały komplet baletu: zwinna trójka zbrojników: Kilińskiego, Maciaszczyka i Milona; wywołała Krakowiaków Mazurów i Łowiczan — naszych — starych znajomych i kilku nowych do najmłod-

chiellego, jednej z jego jedenastu zapomnianych z kretesem oper, jest szczególnie głupkowaty. Coś się tam rozgrywa między ciemną panią, przebraną za „Noc”, bo ma gwiazdki na czole, a jasnym panem, przebrany pewnie także za „Noc”, bo ma na czole półksiężyc. Dokola nich kręci się mnóstwo postaci, przebranych nie wiadomo za co — niektóre są zafrasowane i stawiają figlarne kroczki, niektóre skaczą, a niektóre obnoszą się nawzajem po scenie. Wszystko kończy się chyba dobrze bo finał zamienia się w wielką orgię radości — i oddychamy z ugię. ze państwo „Noce”, on i ona, doszli ze sobą do porozumienia.

Ale przyjemnie patrzeć na piękne ciała i na ich jakże trudne, jakże mozolnie wyuczone, a jakże nieczytelne dla ogółu publiczności pozy i kroki. Mniej to efektowne niż taniec ludowy, a różni się od niego na ogół tym, że w tańcu ludowym przeważa element męski: samiec tokuje dokola samicy — zaś w balecie klasycznym górują panie, podczas gdy panowie przeważnie biorą na siebie rolę tak zwanych tagarzy.

„Gioconda” wykonano bardzo precyzyjnie i zgrabnie. Halina Maculewicz i Władysław Milon są „Nocami”, że jeno marzyć. Florentyna Puchówna, Maria Palulis, Krystyna Stankiewicz i Krystyna Sosnowska tańczą swoje „alcgro” w dobrym tempie, a te ostatnie należy gorąco gratulować. Ze dostała się nareszcie w ręce solidnego baletmistrza. Gdy czwórka wgalopowała ze skrzyżowanymi rękami na scenę, sąsiadka moja szepnęła z oburzeniem: „A cóż to za kabaret!” Tymczasem wiadomo,



Stanisława Selmówna

Pieśni Jana Zelnika w tym balecie były podobno bardzo ładne. Tak mi przynajmniej zaręczyli w sekrecie śpiewacy. Bo słów nie mogłem zrozumieć, ponieważ byli przez orkiestrę rozegrane i przez tancerzy rozrzucone doszczętnie.

Scenograf — surrealistą czuł się — o dziwo! — najlepiej właśnie na tym weselu. Kostiumy stylizowały pięknie, zmianę dekoracji przeprowadził w mgnieniu oka... ale że już lubię szukać dziury na całym: chałupa powinna być raczej na zewnątrz niebieska, a na wewnątrz biała...

Proszę się nie dziwić, że czepiam się wciąż drobiazgów. Lecz drobiazgi widzi się tylko na obiektach dużych, na drobnych się ich nie go należy uważać za obiekt duży. spostrzega Balet Polski Kilińskiego należy uważać za obiekt duży.

5

Jak dalece udał się pierwszy występ baletu, tego miara jest nie tylko entuzjazm widzów i zgodny chór pochwalny recenzentów. Niepokojącym efektem sukcesu są wici, wysłane od dyrektorów z różnych stron Polski do kilku członków zespołu: „Chodźcie do nas, zapłacimy więcej!”

A powinno być raczej przeciwnie: Balet Domu Wojska Polskiego niech rozysła wici do tancerów i tancerzy, niech ich ściąga z całego kraju i wzmacnia swoją ekipę.

Narzekam nieraz (w „Odrodzeniu” i „Dzienniku Polskim”), że nasi najlepsi tancerze marnują się po rewjach i kabaretach. I wreszcie mamy balet, który może dać i w dużym stopniu już dał tym artystom możliwość pracy w najbardziej sprzyjających warunkach artystycznych i finansowych. Zgromadził drużynę tak silną, że może wypełnić połowę, powiedzmy nawet, dwie trzecie wieczoru swymi produkcjami. Na razie więc występuje wraz z chórem, zresztą pierwszorzędny, i osobnej recenzji Zygmunta Mycielskiego godnym. Ale taka symboza baletu i chóru to trochę jak w świetlicy. Trzeba tedy zespół baletu powiększyć, by mógł występować samodzielnie. I pomyślmy tylko, jakby na przykład zyskał „Janko muzykant”, gdyby dworskiego menueta tańczyła nie jedna para, ale dziesięć par; jakby wówczas uwydatnił się kontrast dwu światów.

Przyznaję, że i operetka nie może obyć się bez okras baletu. Ale czy taką okrasę musi być aż sam Wójcikowski, tancerz, który kolegował z Mizanem i Niżyńskim i który nabierał pewnie więcej laurów zagranicznych niż wszyscy nasi tancerze razem? Jest to widok upokarzający i smutny, gdy w drugim akcie „Jadzi wdowy” Wójcikowski nagle wychodzi z komody i wraz ze swą partnerką, która wyszła z „nachkaslika”, zaczyna tańczyć klasycznego walca... Artystyzm i doświadczenie Wójcikowskiego powinny raczej służyć baletowi tej miary co balet Domu Wojska Polskiego.

A dlaczego od dłuższego czasu jakaś tajemnicza mgła poćknęła gwiazdę pierwszej jasności, Stanisław Selmównę, tancerkę klasyczną, jakich mało na Słowiańszczyźnie? (a w kwestii tańca tylko Słowiańszczyzna się liczy). W baletach operowych przyjął się system jednej primabaleriny. I może taka samotna wielkość wystarczy, gdy chodzi o wkładki baletowe. Ale zespół o szperek ambicjach powinien sobie naciągać dużo taniec dobrego gatunku. Powinien przyszuć wszystkie złośliwe mgły, aż znajdzie i przywróci scenie zabłąkaną gdzieś Selmównę.

I podobno Kwapiszewska tańczy w jakimś nocnym kabarecie. Dyktatorską indywidualność Kwapiszewskiej może trudno pomicieć w zespole. Ale wieczory baletowe mogą zaprezentować przecież i „so-

łówni”; a dla takiej Kwapiszewskiej warto by chyba napisać nawet balet zastosowany do jej stylu, a chociażby do jej kaprysów. Z drugiej strony, dobry smak baletmistrza uchroniłby tę artystkę od kiczu do którego, niestety, ma chwilami pociąg. Na jednym ze swych występów w roku 1945 odtępniała ni mniej ni więcej, tylko... drugą Wojnę Światową! To było po prostu groźne i po skończonym numerze odezwały się na widowni głośne kpiny, że owszem, zdobywie Tobruku odtępniała nieźle, ale „V 2” szwankowało itp. Okazuje się, że kobiet nie można puszczać samopas, nawet artystek o formacie Kwapiszewskiej; trzeba mądrego męskiego mózgu, który czasem pomyśli za nie (Zresztą i ten taniec ma swoją tradycję. Przecież kiedyś Parnell i Zizi Halama odtępniali wojnę domową w Hiszpanii! Hiszpania była Halama, Parnell zaś synem Hiszpanii. Jakas tancerka w stroju siostry Czerwonego Krzyża schylała się w płaszcach nad niewidzialnymi rannymi, a „wempry wojny”. Maciaszczyk, Woliński i Rudzki, w trykotach kąpielowych, rekawiczkach i melonikach kłaniali się... baletowi Joo-ssa. Na szczęście nie odtępniono pułkownika Cwika!)

Niechaj tedy dyrektory nie starają się rozbić baletu Kopińskiego, bo będziemy go bronić — co prawda tylko tymi skromnymi środkami, którymi dysponujemy, ale i to wystarczy. Chó! (proszę powyższą uwagę uważać za szantaż). I niechaj Kopiński pamięta o przyszłości baletu Domu Wojska Polskiego. Niechaj szuka i angażuje. Chcielibyśmy u niego widzieć konstelacje najjaśniejszych gwiazd (wraz z pyszną Janiną, na której powrót z granicy czeka z utęsknieniem polski balet i Kopiński, i niżej podpisany autor baletu „Afrodyta”, przeznaczonego wyłącznie dla niej!)

Artur Marya Swinarski



„Gioconda”

wyglądać będzie jak dorosły pastuch, a nie jak chłopięcy pastuszek; czy też raczej młodemu uczniowi szkoły baletowej, który miast rutyny wniesie wdźwięk i świeżość. Zdecydowano się powierzyć Józefa siedemnastoletniemu szczeniakowi. I w dużej mierze właśnie dzięki temu szczeniakowi paryska premiera „Legendy o Józefie” była europejską sensacją artystyczną — wprawdzie nie taką jak premiera „Hernaniego”, ale przynajmniej taką jak premiera „Chantclaira”. Szczeniak siał się nagle sławny, a dziś jego nazwisko figuruje tłustym drukiem w dziełach baletu. Brzmi ono: Leonid Miazin.

szczy Łukasiaków i Cichockich, a wszyscy byli tak ze sobą zgrani, że chwilami nie potrafiliśmy odróżnić starych od nowych: — tańczył po prostu zespół, karny i jednolity... a o to właśnie chodziło w tej „fantazji baletowej”.

Muzykę do „Janka” napisał Zyg-niejednokrotnie pracował z Parnellmunt Wiehler, który przed wojną leł i wie, jak należy pisać do tańca. Mam zastrzeżenie tylko do menueta (odtępnionego przez Moraną i Górzyńską). Ta scena powinna się orkiestralnie różnić od reszty baletu. Różycki w „Panu Twardowskim” (aniac małych Krakowiaków) wprowadził delikatną muzykę przypominającą pozytywkę. Podobny akompaniament należało może zastosować przy menuecie, a nad dźwiękami pozytywki pozwolić mocną melodią górować skrzypcom, wymarzonemu przez Janka instrumentowi. — Niestety, dyrygent „Janka muzykanta” często zwalniał tempo, co jest dla tancerza zabójcze. Wiem od archaniolów i Janusza Meissnera, że bardzo trudno utrzymać się w powietrzu dłużej, niż na to pozwala prawo grawitacji. Co prawda dobrzy tancerze mają z prawem grawitacji jakąś specjalną umowę, ale nie mogą sobie na to pozwolić, by pałeczka dyrygenta trzymała ich w nieskończoność nad podłogą.

Scenograf — surrealistą Bogusz trafnie odrealizował koloryt kostiumów ludowych w wizji Janka Tego rodzaju inwencje rozwiązuja w znacznej mierze problemat oświetlenia, pozwalają na wyeliminowanie tak zwanego „księżycza”, bo dusza sceny jest, jak nam to stale uzmysławia Daszewski, światło białe, nie kolorowe. W scenie menueta powinien być zresztą oświetlony tylko pawilon, by Janek mógł się zakraść z ciemności do jasnego wnętrza, a nie przeciwnie.

3

Balet klasyczny jest najbardziej uroczym nonsensem choreografii. A zgola balet z poczciwej staruszkii „Giocondy” (1876) Amilcara Pon-



Leon Wójcikowski

W poprzednim 29 (190) numerze „Odrodzenia” z dnia 18 lipca 1948 roku: z „Iluminacji” **Artura Rimbaud** (przełożył Jan Kott); **Barbaryński**. — Antyczny — Królwe-skość. — Bottom — Alchemia słowa. — **Julian Przybóś**: Słaby i mocny wiersz — **Erskine Caldwell**: Rachela. — **Wacław Rogowicz**: Niedyskretnie wspomnienia. Drzewo komforowe i drzewo genealogiczne. — **Wojciech Natanson**: Jubileusz Teatru Polskiego. — **Tadeusz Brzecz**: „Wielki ródzkarz”. — **Jan Kott**: Awans pokoleń. — **Jan Huszeczka**: Notatnik: Pocztówka z Wisły Nocleg — **Stanisław Jerzy Lec**: — **Wojciech Żukrowski**: Ręka ojca. — **Emmanuel Meunier**: Europa i germanizm — **Stanisław Szenic**: Najdawniejsze widoki miast polskich. — **kjw.**: Zaczepki: Pafawag — omtur omtur — pafawag, czyli o sztuce przyznawania nagród. — **Książki**: Poezja („Młoda Polska”. Wybór poezji w opracowaniu **Tadeusza Żeleńskiego Boya**). Beletrystyka („Czekamy na życie” **Heleny Boguszewskiej**. „Wróciłem z USA” **Iłii Erenburga**). — **Zygmunt Mycielski**: Notatnik muzyczny. Złoty medal olimpijski za symfonię **Zbigniewa Turskiego**. — **Film**: **Jerzy Pławewski**: Rosanna z siedmiu księżyców — **ec**: Drobiazgi: Anakolut. Stanisław Jerzy Lec po niemiecku. — Z teki dr Proła Sowizdrzała. Satyra szubrawców (podał do druku: **Wacław Kubacki**). — Camera obscura. — 21 ilustracji — 8 stron.

HELENA DEVECHY

Kornel Ujejski w Paryżu w roku 1848

Młodzię wszystkich krajów i wszystkich czasów zawsze chętnie ciągnie za granicę, chociażby na krótko. Jedni dla nabycia wiedzy, drudzy dla przygód i nowych wrażeń.

Dwudziestodwuletni Kornel Ujejski, zdobywający pierwsze listki wawrzynu, marzył o podróży do stolicy świata. W jego bujnej wyobraźni Paryż jawił się jak zaklęty pałac z tysiąca i jednej nocy; wciągała go wielka niewiadoma wrażeń i przeżyć. Podróż ta wydawała mu się oknem na świat.

Drapując się w strój grecki uszyty przez miejscowego, domorsiego krawca według bajronowskiego wzoru, w bezsenne noce w swojej izdebce na poddaszu rodzicielskiego domu odkrywał w sobie powołanie prorocze, gzmiał patosów, „Skargę Jeremiego”, jako „sługa ludu, syn ziemi natchniony”. To znów skupiony, brał się do przekładu „Antygony” Sofoklesa. Głowa mu pałała, diawiła nędzna rzeczywistość gnębiła niewolę narodu, dla którego szukał wyzwolenia ducha.

Rodzice, po naradzie z Wincentym Polem, postanowili wysłać syna-poetę na dalszą naukę do Paryża. Jak gorąco przejął się tą podróżą widać z zachowanych strzępów pamiętnika, których karty przepojone są świeżością doznanych wrażeń, mimo że kreślone czterdzieści lat później.

Po rozmaitych trudnościach i kłopotach pieniężnych urzeczywistniając się wreszcie marzenia młodzieńcze. Jedzie do Paryża. Jedzie naturalnie na Kraków. To miasto pamiętek narodowych znał już dawno. Teraz opuszczając kraj rodzinny wybrał się na kopiec Kościuszki, by stamtąd ogarnąć okiem miasto i — jak pisze w liście do matki — zebrać wiew trawy i kilka kwiatów „unosząc z sobą na pokusy paryskie”.

Może to sierpień, może początek września 1847 roku.

Obiecał Polowi, bawiacemu wówczas na kuracji w Cieplicach, że go tam odwiedzi. Poeta zatrzymuje się więc we Wrocławiu, tradycyjnie pod „Złotą Gęsią”, gdzie się zawsze spotykał znajomych, i odpocząwszy nieco zdąża do Ciepliec.

Dni były piękne i ciepłe, nęciły bliskie Karkonosze. Wybrał się więc w towarzystwie sławnego fizjologa czeskiego Purkiniego i jego synów na dłuższą dwudniową wycieczkę, której głównym celem był szczyt „Śnieżki”. Nocowali na szczycie. Nazajutrz rankiem trzech chłopcy zajęli się budowaniem z kamieni wielkiej piramidy. W pocie czoła wznosiła budowlę. Zjawia się jakiś Niemiec i pyta co robią? Ujejski wypiera kolegow w odpowiedzi: „Polisce nieśmiertelnej” — powiada z wyrazem dumy na zacerwieńionej twarzy Jakby w przeżuciu tego, co nastąpić miało po lat setce, stawał Ujejski pierwsze stopy graniczne.

O pobyty w Cieplicach i zwiedzaniu osobliwości zamku Schaffgotschów wspomina w ręk później w odczynie wygłoszonym u Kłodzkiego na czwartku literackim w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich we Lwowie.

Trzeba było jednak myśleć o dalszej podróży.

Wraca więc młody wędrowiec do Wrocławia, robi ostatnie zakupy.

m. i. chcąc może dostojnie wyglądać, kupuje fioletowy szlafrok „z fałszywego aksamitu za psie pieniądze”, z którego jest bardzo zadowolony, i wybiera się w dalszą drogę na Berlin do Brukseli, koleją, a gdzie nie było połączeń kolejowych, dyliżansem. Parę dni zeszło na zwiedzeniu Berlina, a potem Brukseli.

Wyjając z kraju nie były wówczas łatwe dla Polaków. Władze niemieckie odnosiły się nieufnie do nazwisk polskich i do autentyczności oficjalnych dokumentów. Paszport Kornela Ujejskiego wydobyt przez Darowskiego u dyrektora policji, osławionego Sachera we Lwowie, opiewał tylko na „Deutsche Bundesstaaten”. Toteż musiał Ujejski przeżyć niemłą chwilę na granicy belgijskiej, gdy do przedziału wszedł żandarm, żądając paszportu. Z całą beczelnością, na jaką mógł się zdobyć, podał mu swój bez wahania. Żandarm przeglądając dokument popatrzył na niego badawczo — a on wymownie na policjanta. Poczuł się człowiek oddał mu paszport z ledwo dostrzegalnym uśmiechem. Porozumieli się oczyma. Duża ilość kolejarzy i służby granicznej brała już udział w ruchu wolnościowym i zdarzało się bardzo często, że zupełnie bezinteresownie pomagali oni Polakom w wydosłaniu się za granicę.

W Brukseli był parę razy u generała Skrzyneckiego i z listem polecającym od Bielowskiego u Lucjana Siemińskiego, a z nim razem u Lelewela. Szkoda, że o tych odwiedzinach, jak również o odwiedzinach u Mickiewicza, Słowackiego i Chopina w Paryżu nie podaje dokładniejszych szczegółów w swoich zapiskach. „Bardzo to sprawy ciekawe — pisze — ale gdybym to wszystko pisał, byłoby z tego księga, a ja tylko notatki kładę, hamując się”.

Wreszcie przybył do Paryża i zatrzymał się na razie w Hôtel de France na rue d'Antin. Miał list polecający od Siemińskiego do Walerego Wielogłowskiego. Ten zajął się nim po ojcowsku; w kamienicy, w której sam mieszkał, na górnym piętrze najął mu małą stanczykę.

W parę dni później ukazuje się anonimowo „Chorał” w „Dzienniku Narodowym” — Ktoś z kraju musiał przysłać ten wiersz — tłumaczy sobie Ujejski. Zawrzało w całej Polsce nad Sekwaną.

— To mój wiersz — powiada Ujejski.

Z niedowierzaniem przygląda mu się Wielogłowski:

— Co? Jak?

— Ja mam więcej takich — dodaje młody poeta. I z pamięci spisał mu wszystkie „Skargi Jeremiego”.

Wielogłowski obiecał je wydrukować.

Wielka to była radość dla Ujejskiego. Do śmierci z wdzięcznością wspominał pocziwego Wielogłowskiego, który zaryzykował emigranta swój grosz na pierwsze wydanie „Skargi”. Aby nie zdradzić autora, co było wówczas ze względu na bezpieczeństwo potrzebne i ogólnie praktykowane, jako miejsce wydania podano Londyn słowo zaś Rzym umieszczone na końcu wierszy miało wskazywać na pobyt autora w Wiecznym Mieście. Jako wynagrodzenie autorskie otrzymał Ujejski ślicznie oprawiony egzemplarz, któ-

ry — jak sam powiadał — był dla niego dyplomem. Książki drukowane przez emigrację w Paryżu rzadko zwracały koszty nakładu.

W jakiś czas potem Ujejski przeniósł się do wygodniejszego mieszkania na rue Vaugirard, naprzeciw pałacu Luksemburskiego. Jest to mały „hôtels garni”, gdzie otrzymuje najprzedniejszy i najobszerniejszy pokój z dwoma oknami na pierwszym piętrze od frontu za cenę 40 fr. miesięcznie łącznie z pościelą i usługą.

Hoteli prowadzony jest przez parę małżeńską M-sieur et M-me Dumas. Pani sprząta w pokojach, pan utrzymuje w porządku garderobę gości i czyści im obuwie.

Niedarmo po powrocie do kraju na pytanie pięknej pani czy poznał w Paryżu sławnych pisarzy francuskich, odpowiedział z nonszalancją: „Ach i jak jeszcze! Dumas ciżemki mi czyści!”

Hoteli przepelniony jest studentami, do których przychodzą uroczyste gryzki. Czasem w niedzielę wieczór ogólny pokój jadłalni zamienia się w salę balową. Ktoś siada do pianina i piękny poeta ze starą panią Dumas tańczy w pierwszej parze kontredansa. Kochając się w nim dziewczęta, dogadza we wszystkich pocziwa pani Dumas.

Ujejski z zapalem bierze się w tym czasie do nauki. Chodzi do bliskiej Sorbony i Collège de France, gdzie słucha wykładów Micheleta. Przygotowuje się do egzaminu. Chce wrócić do kraju z dyplomem „bachelier es lettres”.

Równocześnie zapisuje się do klubu polskiego na rue Heure St. Augustin; chodzi tam na obiady i chwali sobie polskiego kucharza.

VIEZSLAV NEZVAL

przełożył K. A. Jaworski

Aż kiedyś przyjdzie czas że staniesz się przysłuchą
Ze będziesz cicho cień nawijając palcem swym
Ze zziębłą rękę twe i będę na nie chuchać
Ze zestarzeje się twój marnotrawny syn

Ze kiedyś cięz cięż się przełamie lada puchu
Ze kiedyś złamię też swój dumny kij przez pół
Ze usiadziemy tak jak chromi wraz bez ruchu
Na otomanie tej oparci o nasz stół.

I przgarbimy się oboje aż do ziemi
Gdzie załśni nagle klucz (i skąd się wziął tu skąd)
I może wtedy już nie będziemy głuchoniemi
I może wtedy już odrzucim wstyd i błąd

I może powiem ci staryszko bez wnućzątek
Co by szepotały ci gdybym je tobie dał
Gdzie kłopot skryjesz swój spłoszony myśli wątek
Gdzie wstyd ukryjesz swój któregom tak się bał

Czemum nie szukał cię w kobietach miłych oku
Po ojcu pierwsza tyś przez tydzień miesiąc rok
Czemum nie szukał cię gdy byłaś przy wym boku
W gorączkę długi czas gdy spadał na mnie mrok

Od uczuć bardziej są zabójcze nasze słowa
I ginie echo ich straszliwie i bez sił
Słowa maskują nas co serce jednak chowa
Oboje wiemy to ty rzeko moich żył

Aż kiedyś przyjdzie czas że staniesz się przysłuchą
Ze będziesz cicho cień nawijając palcem swym
Ze zziębłą rękę twe i będę na nie chuchać
Ze zestarzeje się twój marnotrawny syn

nał, uszedł parę kroków, aż zawrócił ku wylotowi uliczki, wtedy wskoczył bokiem na kozioł.

Tramwaje jeszcze chodzą, bo słyszał dzwonki, iskry rzuciły długie światła poza drzewami parku. Gdzieś tam stali ludzie przed bramami i wężyli już zmianę.

Teraz wyraźniej słyszał było rzekę pojazdów głosy niecierpliwe i sygnały, żelazo szczerkało po bruku. W świetle przygaszonych latarni żołnierze mrowili się między autami, widać było machające ręce, wypchane tornistry, czasami przegrzmiały motocyklista i ściszał motor powstrzymany czerwonią tarczką żandarma.



Długie kolumny ze wszystkich ulic cisnęły się na most.

— Niech Jan podjedzie bliżej, może złapiemy moment, żeby na drugą stronę tego mrowiska przeskoczyć!

— Wał jak na procesji, wio Lala!

Nagle z chodnika doskoczył do sanek jakiś młody człowiek w meloniku i pochwylił woźnicę za rękaw.

— Nie pchajcie się tam, bo was zwał, a sanie odbiora, miałem

W klubie polskim zasiada do stołu wiele znakomitości z 1831 roku, znanych Ujejskiemu z wizerunków i biografii w dziele Straszewicza: generałowie, posłowie, pisarze. Wiedziało, że jest twórcą „Chorału” „Skargi Jeremiego” już się drukowały — przyjmują go więc wszyscy serdecznie. Zjawia się tam kiedyś również Chopin i wręcza mu swój bilet wizytowy z adresem, zapraszając do siebie. Tam objawia mu się pierwszy raz, jak meteor, błady o wielkich czarnych oczach, Juliusz Słowacki, a on drży ze wzruszenia i nie śmie się do niego zbliżyć. Tam poznaje Bohdana Zaleskiego, Antoniego Góreckiego i wielu innych.

Tymczasem — jak opowiada — „nadeszła zima i zaśnieżyła naukową moją wulkaniczność”. Zaczął bywać w rozmaitych polskich domach, w przebywającej w Paryżu arystokracji, w kołach literackich i artystycznych. Na niektórych zebraniach robiono mu miłe owoce. Kiedyś indziej wzruszyło serce jakieś uroczyste stworzenie lub oisła czyjaś posagowa piękność, jak np. pp. Calergis, z którą tańczył na wieczorze u ks. Izy Sanguszkowej.

P. Calergis musiała na nim wywrzeć większe wrażenie, skoro po latach o niej wspomina. Była to Rosjanka, z domu Kasselrode. Kiedy z Adamem Kochanowskim udał się do niej z prośbą o składkę dla najbardziej potrzebnych emigrantów, dała więcej niż ktokolwiek z Polaków (złożyła na ten cel 1000 fr.). Wysłała potem powrotnie za nią za Muchanowa, w Warszawie, gdzie znana była ze swego upośleczenia i uczuć polonofilskich. W jej pogrzebie wzięła udział cała Warszawa.

Nie unikał też „babilońskich niższych balików”, ale i „nie zaniedby-

wał ducha”. Odwiedzał Mickiewicza, Słowackiego, Chopina. Miał w tym czasie kontakty z Towiańskim. Ciągnęli go do siebie towiańczycy. Był jednak zbyt niezależną indywidualnością, zbyt trzeźwym obserwatorem, by się dać łatwo wciągnąć.

Spośród towiańczyków Ujejski związał się najbliższą przyjaźnią z Henrykiem Szułalskim, którego bardzo lubił Mickiewicz i którego później zabral z sobą na Wschód. Był to miły człowiek, rodem z Lubelszczyzny, uważał się jednak za kozaka z Ukrainy. Z Turcji już nie powrócił, umarł w Trikalis. Ujejski długie lata utrzymywał korespondencję ze Szułalskim, który mu przysłał odciepy po śmierci pukiel włosów Mickiewicza ze Stambułu.

II

Już od roku 1846 pachniało wiosną w powietrzu — wielką — burzliwą, jakby miała zmienić stary porządek świata, przywrócić zachwianą równowagę i wyzwolić człowieka. Nowe idee przebiegły torowały sobie drogę, przenikały w umysły wsiały w krew. Nowe hasła były na ustach tysięcy.

Dzisiaj — z oddali wieku, staramy się patrzeć obiektywnie. Przeglądamy się spokojnym okiem badacza, analizujemy przyczyny, szukamy podobieństw. Wyliczamy wpływy filozofów, żądających równoprawienia i wolności dla wszystkich ludzi.

Ale wówczas nikt się pewnie nad tym nie zastanawiał. Niedługo każdy dzień dosypywał prochu do ognia. Pękaly uświęcone zwyczajem, narzucone przemocą wiary, drażniły deski marionetkowych tronów, trzęsły się w swoich fotelach opasłe mocarze pieniądza. „Mruczał lud — było to mrużenie nadchodzącej burzy”.

Już w grudniu 1847 na wykładach Micheleta student odczytuje i przedrzeźnia mowę tronową Ludwika Filipa na otwarciu Izby Prawodawczej. Łagodzące a potężne słowa wypowiadane na konferencjach w Notre-Dame przez słynnego kaznodzieję Lacordaire'a już nie uspokajają umysłów. Wśród studentów wrą narady młodych demokratów.

„Lew w Quartier Latin budził się — pisze Ujejski w swoich wspomnieniach — Elektryczność była w powietrzu. Przejmowała mnie we wszystkich żyłach moich. Ogniem żyłem”.

I przyszedł luty 1848 roku. Oto urywki notatek:

„Takiej drugiej rewolucji już nie będzie. Mało gwańtu, mało krwi, żadnego uderzenia armaty, kolby liniowego wojska podnoszone do góry na znak zgody i braterstwa. Tron upadł w śmiechu! entuzjazm wnieborosił, biały pożar w duszach, nie ten czerwony na dachach — tak od była się rewolucja lutowa.

Byłem w niej czynny. Byłem na placu Zgody, kiedy dwieście tysięcy ludzi manifestowało. Byłem w następnym dniu, we środę, o paręset kroków od bulwaru, kiedy w nocy dano ognia do idącego ludu, a on pociął truony na plac Bastylli i ogłosił walkę. A we czwartek, wyszedłszy z domu, siedłem po ulicach ogolonych z bruku, bo stawiano barykady. Przy jednej, na zapytanie kto jestem — chciano mnie ogłosić dowódcą, dlatego żem powiedział: „Polonais”.

Z bratem moim Francuzem i studentem spotkałem się szczęśliwie

po drodze. Pórut nioś karabin. Po-dążyliśmy we dwóch na drugą stronę Sekwany. Widziałem fale zapalenia całej ulicy, kiedy od Bastylli szedł lud przez ulicę St. Honoré, gdzieś tam zbrojni odierwanymi żelaznymi sztachtetami — straszny jak huragan.

Na placu Palais Royal znalazłem się z moim towarzyszem, zbrojni jednym karabinem Plac zapalony tłumem. Przed nami kasarnia, gdzie zamknęli się municypaliści. Każda ich kula trafiła. Podłożono słomę pod kasarnię. Wydmucono lisów. Lwy to były. Wybrani żołnierze z wojen algierskich. Otworzyli bramy i wyszli z bagnietami naprzód. Jeden z nich znalazł się przy mnie i przy moim Pórut Uderzył w pierś bagnietem jednego z bluzistów. Powalił go.

— To mój brat! — krzyknął inny w bluzie — i zabił go uderzeniem swego bagnetu Tamten padł i dy-szał. Czako usunęło mu się z czoła. Padł tak, że mnie potrafił, aż upadłem na kolano. Zerwałem mu z czaka blaszanego koguta i trójkolorową kokardę i schowałem do kieszeni na pamiątkę tej chwili. Byłem jakiś zimny, przytomny w głowie, chociaż cały drałem wojenną gorączką.

Mówię do Pórut:
— Idźmy teraz do Tuilerii!
— Przedarliśmy się przez tłumy. Stąpaliśmy na ulicy Rivoli, przy jednej bramie ogrodowej najbliższej zamku. Brama o żelaznych sztachtetach zamknięta. Po paru chwilach widzimy, że środkiem ogrodu sunie garstka.
— C'est le roi!
— C'est la reine!
— C'est la duchesse d'Orléans avec son petit, qui s'en vont! — krzyczano koło mnie.

Po chwili cały oddział wojska, piechota z kolumnami do góry i armaty gromadzone na placu Karuzelskim dla obrony zamku przedelfowały ogrodem przed nami.

— Le châteaue est vide! — krzyk-nięto.

I barkami wyważyliśmy bramę i do zamku!

Weszliśmy we stu, a może we dwiestu. Przed nami uciekali w twrodze liberylni słudzy królówscy, rzucając za siebie pasowe fraki. Szliśmy przez puste salony. Widziałem w jednym z nich zastawione na stole niedokończone śniadanie i cygaro jeszcze dymiące. W sali trono-wej widziałem na estradzie ogoloco-nej z dywanu, na deskach napis nakreślony kredą: Vive la Pologne! Kto to napisał? Tron stał przewró- cony, z purpurowego aksamitu po części obdarły. Podszedłem i urwa-łem kawał aksamitu i wsunąłem go do kieszeni. *Echomay byłem na pa-miątki.*

A tu po jakich dziesięciu minu- tach wali na pokoje tłuszcza masa ludu. Ledwie przejechałem się z po-wrotem.

Błądząc dostałem się na galerię obrazów Luwru. Już stali przy trzawach na straży bluziści z kara-binami i każdego wchodzącego z cy-garem w rękę przestrzegali, że dym szkodzi obrazom.

— Ca to lud!”

Na tym urwa się notatka pamięt- nika.

Gdy przyszła wiosna i coraz bar- dziej alarmujące wieści nadchodziły z kraju, Kornel Ujejski, na Dreżno i Pragę, spieszy z powrotem do Pol- ski, uważając, że tam jest jego miejsce.

Helena Devechy

WOJCIECH ŻUKROWSKI

rysunki JULIUSZA KRAJEWSKIEGO

Ręka ojca 16)

— Pewnie. Od pół godziny się kreci. Na krok od wozu nie odstępowala, zmarzła na kość, aż mi się jej żal zrobiło i posłałem ją do stróża, niech się zagrzeje.

Łucja miała nadzieję, że ją Marynia posłucha i jednak zostanie w mieście. Z rana jeszcze chciała ją zabrać, ale gdy w południe zaczęło mówić już zupełnie jawnie o przerwaniu frontu na Wiśle, zdecydowała. Że małą zostawi. Matce musi wystarczyć kilka czułych słów, które obiecała przekazać i sweter właśnie ukończony przez dziewczynkę. Marynia zostawała pod dobrą opieką, w warsztacie RGO wyrażano się o niej z uznaniem, kierowniczka lubiła ją bardzo. Ponieważ ofensywa rosyjska postępowała gwałtownie, bezpiecznie było by dziecka nie brać ze sobą po nocy.

— Janie — szepnęła — może odjedziemy cicho? Jak nas nie zobaczy, pójdzie sobie do krennych, po co ja mamy wlec ze sobą?

— Racja, ale ona czujna jak myszka. O. widzi ją pani, już posyłała.

Brzęknęły drzwi, błysnęło światło z mieszkania.

— Jak to dobrze, że pani przyszła — zawołała dziewczynka — nareszcie pojedziemy!

— Wolałabym Maryniu, żebyś została. Z tego, co ludzie mówią, widać, że się Rosjanie rozpędzili, możemy po drodze trafić na jakieś parole, mogą strzelać... Będzie z tobą tylko kłopot. Myślę, że to rozumiesz, jesteś, dziecko, duża i ma-dra, więc bardzo cię proszę iść za-raz do domu.

— A rano pani sama mnie nawa- wiała! Mamusia będzie bardzo

zmartwiona, na pewno mnie wy-głada...

— Zostaw to mnie, już ja cię wytłumaczę!

— Ona nie da sobie wytłuma- czyć, ja mamusię znam lepiej! Będzie na pewno szalała, pani nawet nie wie, jak od śmierci tatusia drży o nas... Wolę jej posłuchać, pojadę z panią, pojadę!

— Maryniu, nie upieraj się, po- wiedziałam raz — zostajesz!

— Proszę pani w taki czas lepiej się nie rozdzielać, mamusia chce nas mieć przy sobie! Pani też się do dzieci spieszy, choć to nie są pani własne... Też się pani niepo- koi, a cóż dopiero mamusia? Z Irka są tylko kłopoty, a ja się naprawdę przydam, pani też pomożę... Ja bardzo lubię dzieci, przecież pani sama widziała!

Jan stał nieporuszony, z jedną nogą na płozie sanek, czerwony żar z fajki oświecał mu nieogolo- ną brodę, siwiejącą szczec.

— Na cóż Jan jeszcze czeka? — zachnęła się Łucja — Tracimy tyl- ko czas!

— Niech pani posłucha — powie- dział powoli i podniósł rękę do gó- ry, pokazał ponad dachy/zaśnieżo- ne, zlewające się z niebem.

Nastłuchiwały. Poprzez głośniejsze mrużenie motorów, szum po- chodu, usłyszały głuchoe detonacje.

— Armaty?

— Ano, musieli podciągnąć pod miasto, znaczy się u nas w dolinie już są!

— Jedźmy Janie!

— Niech pani siada!

Z trudem wcisnęły się między pakunki, skulone naciągnęły cięż- ką derkę. Jan podszedł do dyszla odepchnął końskie pyski i zabrał koszyk; zapiąwszy wędzidła, cmok-

spoko! przyjeżdżające. Zostańcie z Bogiem!

Marynia, która dotąd siedziała bez słowa, uklękła na jawce.

— Ja idę z panią! Ja pani samej nie puszcze!

— Ani mi się waży! Masz iść pro- sto do domu i nie wystawiać mi

Wyciągnęła paczkę banknotów z kieszeni i rozpiąłszy bluzkę prze- zornie umieściła za koszulą. Prze- sunęła dłoń — przez grubą kurt- kę ledwie jej mogła namacać.—Choć- by przeskoczył mi kieszenie, nie znajda — myślała uspokojona.

Ruszyła ostrym krokiem. Ulica była pusta, raz tylko przeszli męż- czyźni z workami na plecach, da- leko niósł się aromatyczny zapach tytoniu. — Rozbili magazyny Mono- polu — pomyślała z ulgą — więc na- prawdę już koniec z Niemcami.

W powietrzu była mroźna mgła, zostawał po niej w ustach, smak metalu.

Skreśliła w stronę Małego Rynku. Ktoś biegł za nią.

— Panno Eucjol — usłyszała za- dyszaną głos Maryni. — Niech pa- ni na mnie zaczeka!

— Dlaczego się wróciła?

— Zapomniałam pani oddać poń- czochy!

Łucja wepchnęła torebkę do kie- szeni.

— No, a teraz uciekaj!

— Odprowadzę panią kawałek, przecież tu jest spokojnie.

Tak za panią pędziłam...

— Ale tylko kawałek, pamiętaj.

Szły chwilę razem, rymiczenie.

Nagle Łucji przyszło na myśl, że o tej porze odchodzi autobus do Doboszowa. Jeżeli tramwaje kur- sują jeszcze, to może porządek nie został zbyt zły.

Wpadły na plac. Rzeczywiście autobus stał oświetlony, było w nim nawet parę osób.

— Czy jedziecie dzisiaj? — zapy- tała konduktora.

— Pewnie — spojrzał na nią po- gardliwie.

nosa na ulicę, póki się wszystko nie uspokoi!

Wbrew szorstkim słowom, obja- śla dziewczynkę i ucałowała serde- cznie. Jan zlął z sanek, stał z czapką w ręce.

— Niech się pani na mnie nie gniewa.

— Wiem, wiem. Rozumiem was. Odjedźcie! Będę spokojniejsza jak już będziecie na Kanonii. Do- branoc Maryniu!



STANISŁAW KOLINEK

W obronie czci Wita Stwosza

Cześć i dobre imię człowieka jest jego dobrem największym, co dopiero — gdy idzie o człowieka tej miary i zasług o genialny nasz artysta — Wit Stwosz. Najstarsze dokumenty i zapiski powiedzą, jaka jest prawda historyczna — a rzeczą sumienia będzie nagrodzić potworną krzywdę, którą wyrządził się dotąd jeszcze wielkiemu Polakowi.

Wit Stwosz był z pochodzenia Niemcem — i rzekomo „nie udało się dotąd udowodnić, iż był Polakiem „z Krakowa rodem” — jak się to twierdzi w broszurze dla młodzieży polskiej z 1933 r.

Wit Stwosz był i czuł się zawsze Polakiem; w Krakowie i w Norymberdze. Wykazują to szczegółowo w osobnej, obszernej, przygotowanej do druku pracy. Tu pokrótce tylko nadmienię, że najstarszy historyk norymberski — Jan Neudorfer, przyjaciel osobisty Wita Stwosza i nauczyciel jego synów — w dziele swym w r. 1546; „Wiadomości o norymberskich artystach” — pisząc o Wicie Stwoszu podaje nam wstępnie krótki życiorys mistrza; stwierdza przy tej sposobności, że Wit Stwosz jest „z Krakowa rodem”. Na tej podstawie przez trzy i pół wieku Niemcy wiedzieli i uznawali, że Wit Stwosz był Polakiem z Krakowa, tym bardziej — iż w Norymberdze „polskich obyczajów się trzymał i polski ubiór nosił”. Neudorfer zaś, to świadek klasyczny, który dane co do pochodzenia i narodowości Wita Stwosza miał od niego samego.

Manuskrypt Jana Neudorfera w całości ogłosił dopiero niemiecki historyk sztuki dr Fryderyk Campe w r. 1828 w Norymberdze.

Są jednak i inne dokumenty stwierdzające polskie pochodzenie Wita Stwosza.

Wspomnę o jednym tylko, chyba zupełnie wystarczającym.

Dnia 2 marca 1499 r. — kupił Wit Stwosz od rady miejskiej w Norymberdze, po wypędzeniu Żydów przez cesarza Maksymiliana I — dom starożytnego Majera Johela, przy ulicy Żydowskiej — za 800 florenów. W archiwum miejskim w Norymberdze przechowywano kopię wspomnianego kontraktu kupna.

Otóż tak w kopii kontraktu, w księdze miejskiej (co podaje Bertold Daun) — jak i w samym kontrakcie kupna te same realności, podpisany własnoręcznie przez Wita Stwosza, oznaczony był nabywcą jako „Wit Stwosz, snycerz, rzeźbiarz i malarz z Krakowa rodem”.

Oryginalny kontrakt kupna, własnie dla tej przyczyny zakupił od potomków spadkobierców Wita Stwosza — mianowicie od Katarzyny Schmalz — za 50 florenów bar. Edward Rasawiecki, bawiarz w Norymberdze w r. 1857 i złożył go w archiwum Muzeum archeologicznego w Krakowie.

Nie jest też prawdą, jakoby Wit Stwosz podrobił w Norymberdze jakiś dokument.

Wit Stwosz przybył oto po raz trzeci do Norymbergi, w r. 1496 — po ukończeniu ołtarza Mariackiego i sarkofagu Kazimierza Jagiellończyka w Katedrze Wawelskiej (1492), by wykonać tam, wedle swojego zażyczenia, już przez tamtejszą radę miejską projektu, grobowiec nad trumną św. Sebaldy w kościele parafialnym pod wezwaniem tegoż świętego.

W tym czasie przywiózł ze sobą z Krakowa dość znaczną gotówkę,

nie mając zresztą zamiaru osiedlić się w Norymberdze na stałe; rodzinę swą pozostawił w Krakowie, gdzie syn jego Stanisław, również snycerz, miał prowadzić nadal pracownię ojca.

Za pośrednictwem Niemca krakowskiego, rajcy miejskiego, Jana Bonera, zapoznał się w Norymberdze z bratem jego Jakubem, szefem poważnej firmy handlowej, bankierem i nader wpływowym rajcą miejskim. Mając zaufanie do poważnej firmy Bonera, Wit Stwosz zaraz po przyjeździe do Norymbergi umieścił w jego banku część swojej gotówki w sumie 1000 florenów, — uzyskując na to formalne pokwitowanie z podpisem i pieczęcią firmową J. Bonera. Po trzech latach Boner niespodziewanie wypowiedział depozyt pieniężny Witowi Stwoszu, proponując mu złożenie całej gotówki z odsetkami w łącznej sumie 1265 florenów w innym tamtejszym banku, mianowicie — Hansa Starzedela i Spółki. Sprawę podjął się załatwić sam i natychmiast tj. dnia 25 maja 1500 r. przez sługę swego („durch seinen Knecht“), odebrał od Stwosza swój kwit depozytowy, w którego miejsce Stwosz otrzymał w tym samym dniu od Starzedela nowy kwit depozytowy z jego podpisem.

Starzedel zeznał nadto swój dług zwyciężając norymberskim do księgi miejskiej. Okazało się wnet, że W. Stwosz padł ofiarą dobrze obmyślanego oszustwa obu bankierów.

Starzedel bowiem był już wówczas bliski bankructwa, o czym dobrze wiedział Boner, któremu Starzedel dłużny był 600 florenów. Pieniężnik Wita Stwosza podzielił się zatem obydwaj bez jego wiedzy, czyli jak się wyrażają niektórzy niemieccy pisarze, „pożyczili sobie gotówkę po W. Stwosza”.

Starzedel ogłosiwszy po tym wypadku swą niewypłacalność, zbiegł natychmiast w niewiadomym kierunku. Wit Stwosz zaś ohydnie oszukany utracił ciężko zapracowaną gotówkę, gdyż kwit Starzedela nie przedstawiał żadnej wartości. Zwiąż w prząjani z tamtejszym obywatelem Krzysztofem Scheurlem, uzyskał od niego za pośrednictwem przekupionego przez tegoż kantorzysty Bonera, wyjęty z kartoteki bankowej pierwotny kwit depozytowy z podpisem i pieczęcią Bonera, co umożliwiło Stwoszu dochodzenie swojej pretensji na drodze sądowej.

Sprawę rozstrzygał sąd miejski, zażny od rady miejskiej i przez nią mianowany, gdyż sędziów ustanawiała w każdym wypadku rada miejska, wyznaczając ławników z grona rajców miejskich i dając im wskazówki, a nawet określając z góry wyrok.

Gdy na rozprawie Wit Stwosz okazał niespodziewanie oryginalny kwit depozytowy z podpisem i pieczęcią Bonera, zaskoczony Boner — oświadczył, że kwit jest sfałszowany, co dla owego sądu było wystarczające, jakkolwiek Boner oryginalnego kwitu swego w ciągu całego, dość długiego sporu nie przedstawił.

Wita Stwosza postawiono teraz przed sąd pod zarzutem sfałszowania kwitu; za fałszerstwo zaś dokumentu była wedle ówczesnego tamtejszego prawa przewidziana kara śmierci. W Norymberdze praktykowano wówczas tortury, wykonywane przez kata miejskiego i jego po-

mocników, posługujących się rozmaitymi narzędziami stosownie do uchwwały rady miejskiej lub lekarza miejskiego. Celem wydobywania potrzebnych zeznań, poddano Wita Stwosza i Scheurla szczególnie nieludzkim torturom.

W księgach rady miejskiej w Norymberdze z tego czasu znajdujemy uchwałę tejże rady z dnia 18 listopada 1503 r.: „Wita Stwosza związać i postawić na kamieniu” („uff dem stain steen”) — to jest bosymi stopami postawić na rozpalonym kamieniu i „wypytac o wszystkie szczegóły”. Jak świadczy raport straży więziennej z tego czasu, tortury te stosowano przez 19 dni.

W dniu zaś 23 listopada 1503 r. zapisano uchwałę: Wita Stwosza pojmąć i torturować za pomocą koła.

Wit Stwosz zniósł wszystkie tortury i do fałszerstwa się nie przyznał, twierdząc, że dostarczony mu „kwit uważał za oryginalny, pochodzący z kantoru Bonera” — nie podał zaś, kto mu kwitu tego dostarczył. Uznano to za przyznanie się do fałszerstwa, jakkolwiek podejrzanym o współudział i także torturowany nieludzką Scheurl — do sfałszowania ani do dostarczenia kwitu oryginalnego Stwoszu również się nie przyznał.

W toku dochodzeń sądowych przyszło do pisemnej ugody między Bonerem a Witem Stwoszem, który sądził, że ugoda ta spowoduje, iż sąd zaniecha dalszych dochodzeń. Do ugody parę zwłaszcza Boner — skompromitowany tą sprawą w opinii mieszczan norymberskich, sympatyzujących w duchu z oszukanym i skrzywdzonym przez „chytrego” Bonera — Stwoszem.

Ugodę spisano dnia 29 października 1503 r. — a więc na długo przed wyrokiem — sąd jednakże nie wziął jej zupełnie pod uwagę, ani nie zaznamił się z jej treścią.

Według tej ugody — Wit Stwosz oświadczył, że na poparcie swojej skargi złożył przed sądem list dłużny, który ma od Bonera, („den ich von ine hab”) — jako Jakuba Bonera pismo własnoręczne i że pismo to uważał za jego pismo ręczne. Gdy jednak Boner zapewnia, że kwitu tego nie pisał, ani nie zaopatrywał swą pieczęcią — Wit Stwosz nie chce go nadal obwiniać, że on zaprzecza swojego ręcznego pisma i żadnej pretensji do niego ani jego spadkobierców podnosić nie chce i nie będzie, zastrzegając sobie prawo dochodzenia pretensji przeciw Starzedelowi.

Stwosz zatem w ugodzie tej do żadnego fałszerstwa się nie przyznał. Wiedział bowiem dobrze, że dostarczony mu przez Scheurla kwit depozytowy jest oryginalnym kwitem Bonera. Jakkolwiek w umowie jest wzmianka o wzajemnym pojednaniu, Boner nie zastosował się do niej i nadal ścigał Stwosza procesami, wnosząc skargę o zwrot kosztów sądowych, które doszły do 4.000 florenów.

2 grudnia 1503 r., tj. w sobotę [Sabate post Andrej], zapisano w księdze miejskiej nową cyniczną uchwałę rady: oto postanowiono „okazać łaskę i litość” Witowi Stwoszu, tj. nie skazać go na śmierć za fałszerstwo.

W dniu 4 grudnia 1503 r. (w poniedziałek) — zapadł zatem zgodny z życzeniem mściwego J. Bonera i w myśl owej uchwały rady

miejskiej — świadomie niesprawiedliwy wyrok — skazujący Wita Stwosza za rzekome sfałszowanie kwitu depozytowego Bonera na internowanie w mieście Norymberdze do końca życia i napiętnowanie na ciele jako fałszerza. Po ogłoszeniu wyroku wyprowadzono Wita Stwosza dnia 4 grudnia 1503 r. z więzienia na plac publiczny, gdzie kat miejski rozpalonym żelazem w obecności tłumów wycisnął mu piętna na obu policzkach, rozraniwszy je tak dotkliwie, że musiał poddać się długiemu leżeniu.

W tym samym czasie, gdy Wita Stwosza obwiniano o fałszerstwo kwitu, zastanawiano się w radzie miejskiej, jak się pozbędzie niewygodnego świadka, Krzysztofa Scheurla, znajdującego całą prawdę, że kwit nie był sfałszowany. A więc, jakkolwiek dnia 4 grudnia 1503 r. zapadł wyrok sądowy przeciw Stwoszu, skazujący go za rzekome fałszerstwo, w dniu 18 grudnia 1503 r. zapadła za notowana w księdze miejskiej uchwała rady: „10b secunda post Lucie: Krzysztofa Scheurla pociągnąć do wypowiedzenia się „o krzywą rękę” tj. o przekręstwo („umb die krummen hant”) „i tak go przesłuchać, iżby się przyznał”.

Zarzucono mu mianowicie przekupienie kantorzysty Bonera w tym celu, aby wydobyl z banku Bonera kwit depozytowy oryginalny, odebrany poprzednio — tj. 25 maja 1500 r. od Stwosza. Ta uchwała rady miejskiej jest wymownym dowodem, że Wit Stwosz kwitu depozytowego nie sfałszował i sfałszować nie potrzebował, mając w ręku kwit oryginalny, który zniknął z kantoru Bonera.

Jak uzasadniono zarzut sfałszowania kwitu depozytowego przez Wita Stwosza?

Mówi o tym księga uchwał rady miejskiej w Norymberdze z r. 1503. Nie dowiedział się jednak o tym Wit Stwosz do końca życia — gdyż nie miał dostępu do tych ksiąg.

Oto syn Krzysztofa Scheurla, przyjaciel Wita Stwosza — dr Krzysztof Scheurl, widząc jak okrutnie ojciec jego jest przez radę miejską gnębiony, w obawie o jego życie zmienił dzieciną wprost opowieść, którą zapisał w prowadzonym przez siebie pamiętniku archiwum domowego rodu Scheurlów.

Dnia 16 listopada 1503 r. — (a więc w czasie, gdy Wit Stwosz znajduje się we więzieniu) — Krzysztof Scheurl zapisuje, że Boner będąc winien Stwoszu 1121 florenów, odesłał go z pretensjami do Starzedela, oszukawszy go złośliwie („bösllich“), gdyż Starzedel zbankrutował wówczas. o czym Boner dobrze wiedział.

Dr Krzysztof Scheurl potknął się przy tym fatalnie, gdyż pretensję Stwosza określił mylnie na 1121 florenów — zamiast 1265 fl. Opowiada, że W. Stwosz przejął się tym oszustwem Bonera, i nie mogąc przeboleć strat tak wielkiej sumy pieniężnej, zwierzył się z tego także przed swym spowiednikiem u Karmelitów Bosych, który doradził mu rzekomo podrobić kwit Bonera i zaopatrzyć go podpisem Bonera i jego pieczęcią firmową tak, ażeby pismo było zupełnie podobne do pisma ręcznego Bonera, a ów mnich przebacza mu z góry przed Bogiem i nie będzie mu to grzechem! Poczył go także, jak ma podrobić pieczęć Bonera.

Krzysztof Scheurl zapisał też rozmyślnie: „W tym mu (tj. W. Stwo-

szowi) nikt nie pomagał (tzn.: ojciec Scheurla), a spowiednik, tj. ów mnich umarł”.

Nie tylko zatem nie podał imienia owego spowiednika, ale dla ostrożności go uśmiercił!

Nazajutrz, tj. dnia 17 listopada 1503 r. Scheurl z pamiętnikiem swym zgłosił się w zarządzie miasta, gdzie ową fantastyczną opowieść wpisał do księgi miejskiej, jako rzekome zeznanie ustne Wita Stwosza, złożone przed sądem.

Intryga to zbyt przejrzyście, zbyt naiwna, ale jakże nikczemna i kompromitująca przewrotną i zawziętą radę miejską.

Wit Stwosz fałszerstwa nie popełnił i do żadnego podrobienia kwitu się nie przyznał, przeciwnie — jak długo żył — utrzymywał w Norymberdze i poza Norymbergą, że jest zupełnie niewinny — jakkolwiek każdą taką wypowiedź przypłacił więzieniem i torturami. Świadczy o tym np. następujący wpis z dnia 1506 r. w księdze rady: G str. 222 b — 223a:

„Rada słusznie jest niezadowolona z mów, które prowadził, i z tego, co w suplice swej twierdził, jakoby nie nie wykroczył, lecz, że postępkę jego były sprawiedliwe — przeto rada wydaje nakaz, aby już nadal mów podobnych zaniechał, bo w przeciwnym razie, spowoduje radę do zastosowania innych środków przeciw niemu”.

Z początkiem września 1506 r. uzyskał Wit Stwosz od cesarza Maksymiliana I — dekret rehabilitacyjny w formie otwartego edyktu, unieważniającego w całości wyrok sądu miejskiego w Norymberdze z dnia 4 grudnia 1503 r. — jako niezasadzony i niesprawiedliwy. Uchylone zostało również internowanie dożywotnie w mieście Norymberdze, gdyż cesarz przywrócił mu wyraznie: „wszelkie prawa obywatelskie i cześć”, a więc zupełną swobodę ruchów.

Nie zastosowała się jednak do tego norymberska rada miejska i wymagała nadal od Wita Stwosza, by murów miasta nigdy nie opuszczał ani na chwilę bez specjalnego jej zezwolenia. Stwoszu odmówiono nie tylko ogłoszenia w mieście edyktu cesarskiego (Hampe poz. 744), ale za kazano mu czynić z niego użytek, a uzyskanie edyktu poczytano mu za wrogie działanie przeciw Norymberdze. Rada miejska kazała go natychmiast uwiezić, a następnie wedle zapisu w księdze miejskiej dnia 15 września 1506 r. powzięła uchwałę „Wita Stwosza zmusić do zeznania. Z jakich powodów i przy czyjej pomocy osiągnął królewski mandat — to jest absolutją nałożonej na niego kary”.

Cesarz Maksymilian I przekonany o niewinności Wita Stwosza po zbadaaniu całej sprawy, odnosił się do niego przychylnie, przyjąwszy go obojętnie w r. 1507 w Ulm — a w 1512 w Norymberdze. Cesarz bowiem powierzył W. Stwoszu zaprojektowanie i wykonanie posągów do mauzoleum Habsburgów — w kościele dworskim w Innsbrucku. Aby wykonać te prace, W. Stwosz zmuszony był często opuszczać Norymbergę i często wnosić prośby o zezwolenie na wyjazd — a wyjeżdżając opowiadał o swej niewinności i niesprawiedliwym wyroku. Rada chcąc położyć kres kompromitowa-

niu jej poza Norymbergą, postanowiła zastosować owe zapowiedziane Stwoszu „inne środki przeciw niemu”.

Takim środkiem stało się w r. 1530 — barbarzyńskie wyklucze oco 92-letniemu starcowi

Są również dokumentarne dowody i tej zbrodni.

Mówią o niej najdawniejsi kronikarze norymberscy: Heinz Deichsler i M. Müllner. Oto ich słowa według G. W. K. Lechnera: „Des Johans Neudörfers Nachrichten” [str. 87]: „i oni (tj. W. Stwosz i Boner) pracowali się wzajemnie dobre dwa lata, zanim on (tj. W. Stwosz) swą awanturę o to zakończył, tj. zanim mu wypalono piętna i musiał przysiąc, że jak długo żyć będzie nie wyjdzie z tego miasta; gdy bardzo natarczywie i wiele razy prosił, wtedy zgadzono się, iż mu wykluczo”.

Podając to, stwierdza Lechner w pracy swej: „Des Johans Neudörfers Nachrichten von Künstlern und Werkleuten” [str. 87], że przez długi czas przyjmowano to z zastrzeżeniem, jako pogłoskę. („als eine Sage“) dopóki właśnie z kroniki Deichslera — ogłoszonej późno po jego śmierci — nie dowiedziano się całej prawdy.

To samo stwierdza też historyk niemiecki Max Lessnitzer w wyżej wymienionym swoim dziele na str. 168. pisząc o ostatnich latach ciężkiego życia Wita Stwosza: „znuzony i rozgorączony, obrabowany ze wzroku [„des Augentlichtes beaubt“] umarł stary mistrz w siedmym wieku w czasie, który mu się przeciwstawił jako obcy i wrogi”.

Wreszcie zapisuje to w ogólniejszej jednak nieco formie — zjeżdżając bezbrzeżną nienawiścią ku Polsce i Polakom Eberhard Lutae w pracy swej: „Veit Stoss. Deutscher Kunstverlag”, Berlin 1938 r.: „ale on (tj. Wit Stwosz) wypuszcza duto, nóż snycerski i pedzel jako zgrzybiały starzec z ręki, gdy mu znuzone oczy ślepią i mrokiem nocnym zaciemniają”.

Wit Stwosz ociemniał, przez wnućkę Urszulkę prowadzoną — i złamany tym nieszczęśliwem, żył jeszcze 3 lata. Zakończył swój prawdziwie męczeński żywot w r. 1533, w szpitalu w Schwabach pod Norymbergą.

Oto smutna historyczna prawda i nad wyraz smutne koleje życia genialnego naszego rodaka. Z jakże wielkim wzruszeniem śledzi się losy tego człowieka. Trzydzieści kilka lat spędzonych w Norymberdze z dala od utęsknionej ojczyzny, której plastyczną mapę dla podniesienia ducha, tak skrupulanego w obcym, wrogiem mu mieście — sporządził sobie sam — jak wspomina Neudorfer — tam na obczyźnie, to karta nadzwyczaj bolesna. To walka ze złymi ludźmi i z okrutnym, niezasłużonym losem.

Zbliża się chwila, kiedy genialne arcydzieło tego mistrza — słynny ołtarz Mariacki, znajdujące się w powrotem w kościele N. Panny Marii, na tym miejscu, gdzie je przed 454 laty ustawił sam twórca.

Zapomniany i źle oceniony, niesłusznie nawet przez własnych rodaków osądzony, nlech po wiekach wraca do nas — już inny — sercem naszym bliższy — do czci należnej przywrócony.

Stanisław Kolinek

— A kiedy?
— O czasie!
— Jak jest autobus to ja z panią pojadę — zawołała Marynia.
— Przecież będzie lepiej, jak zostanie pod pani opieką!

— No, dobrze jedź! — zgodziła się łatwo.

Gdy ruszyli mała złożyła ręce i ze skupieniem na twarzy wyszeptala krótką modlitwę. Lucja odychała z ulgą. Przez szybę zamalowane na niebiesko widziała niewiele, zgadywała jednak, by wydzostać się ze zlewiska taborów. Jaśniejszymi plamami przesuwali się światła mijanych kolumn samochodowych. Słyszała jak dwaj mężczyźni rozmawiali niespokojnie, dzielił się wiadomościami o zmianach frontu. Okazało się, że poranny autobus nie wyjechał z Dobosowa, a ten którym właśnie jada, może w najlepszym razie dobrać do wsi Mag-nuszowice, jednak w dolinę już nie jedzie.

— Nie kazano nam iść z linii, to pełnymi służbę — powiedział konduktor, wydając jej bilety. — Ale chyba to ostatni kurs.

— Boże, jak to dobrze, że jeszcze posuwamy się naprzód. Jak się wyrwimy poza przedmieścia spadnie mi kamień z serca — myślała Lucja. — Zdobyłam pieniądze, wiozę pieniądze. Wierzę, że wszystko zakończy się pomyślnie. — Przypomniała sobie nieokreślone pytania urzędników, oczekiwanie na podpis i wysięg do okienka. Biegła od banku do banku, wypłacano tylko po pięć tysięcy, by utrudnić wycofywanie wkładów.

Jechali może kwadrans, naraz kierowca gwałtownie zahamował. Światło zgaso. Konduktor krzyzczał coś po niemiecku. Za oknem przesuwali się parami światła. W ich blasku zobaczyła Niemców ze srebrnymi półksiężycami na pierśsiach i granatami za pasem.

— Wszyscy wysiadać — powiedział krótko — rekwirujemy autobus dla rannych.

Lucja wyskoczyła w głęboki śnieg. Autobus stanął przechylony tuż nad rowem. Warczały przejeżdżające auta, spod plandek wyglądały głowy w hełmach. Bieleły twarze w świetle krótkich błysków reflektora. Noc była jakby jeszcze ciemniejsza.

— Co ja mam teraz robić — płakała kobieta z dzieckiem na ręku — gdzie pójdę?

— Na szosie, kawałek za rogatką. O tam, jest tor i cegielnie. Ruch taki, że lepiej niech się pani do któregoś domu schowa, wszędzie panie przyjmą, po co się na drodze kręcić...

Lucja słysząc te objaśnienia pomyślała, że gdyby przeszła pod wia-

duktem i pomaszerowała krótszą, pełną drogą mogłaby za trzy godziny być w zamku.

— Chyba nie każe mi się pani teraz wracać — powiedziała Marynia — pójdziemy pieszo. Pomodlim się do Anioła Stróża, ja się niczego nie boję.

— Słuchaj dziecko — zaczęła Lucja ujmując ją mocno za rękę — teraz koniec zabawy, musisz już iść ze mną.

Droga polśniewała lekko. Powoli oczy oswajały się z ciemnością. Już

rozpoznawały zakłębienia ośnieżonych glinianek. Parkany i kominy składów budowlanych.

Szły coraz szybciej. Nie było wiatru, mroź znać tylko w smaku powietrza. Koło samotnych domków ogrodzonych drutem kolczastym widziały działka przeciwpancerne i Niemców zaczajonych na wiązkach rozświetlonej słomy. Lucja słyszała, jak między sobą mówili o niej, ale szła tak pewnie, że nikt



— Niech pani wraca do miasta — powiedział konduktor.

— Kiedy nawet nie wiem, gdzie jesteśmy...

— Na szosie, kawałek za rogatką. O tam, jest tor i cegielnie. Ruch taki, że lepiej niech się pani do któregoś domu schowa, wszędzie panie przyjmą, po co się na drodze kręcić...

Lucja słysząc te objaśnienia pomyślała, że gdyby przeszła pod wia-

duktem i pomaszerowała krótszą, pełną drogą mogłaby za trzy godziny być w zamku.

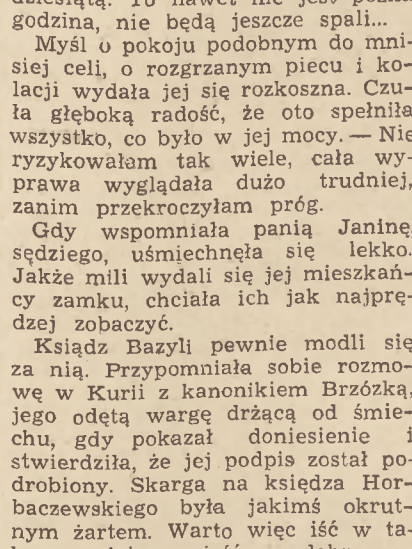
— Chyba nie każe mi się pani teraz wracać — powiedziała Marynia — pójdziemy pieszo. Pomodlim się do Anioła Stróża, ja się niczego nie boję.

— Słuchaj dziecko — zaczęła Lucja ujmując ją mocno za rękę — teraz koniec zabawy, musisz już iść ze mną.

Droga polśniewała lekko. Powoli oczy oswajały się z ciemnością. Już

rozpoznawały zakłębienia ośnieżonych glinianek. Parkany i kominy składów budowlanych.

Szły coraz szybciej. Nie było wiatru, mroź znać tylko w smaku powietrza. Koło samotnych domków ogrodzonych drutem kolczastym widziały działka przeciwpancerne i Niemców zaczajonych na wiązkach rozświetlonej słomy. Lucja słyszała, jak między sobą mówili o niej, ale szła tak pewnie, że nikt



— Niech pani wraca do miasta — powiedział konduktor.

— Kiedy nawet nie wiem, gdzie jesteśmy...

— Na szosie, kawałek za rogatką. O tam, jest tor i cegielnie. Ruch taki, że lepiej niech się pani do któregoś domu schowa, wszędzie panie przyjmą, po co się na drodze kręcić...

Lucja słysząc te objaśnienia pomyślała, że gdyby przeszła pod wia-

duktem i pomaszerowała krótszą, pełną drogą mogłaby za trzy godziny być w zamku.

— Chyba nie każe mi się pani teraz wracać — powiedziała Marynia — pójdziemy pieszo. Pomodlim się do Anioła Stróża, ja się niczego nie boję.

— Słuchaj dziecko — zaczęła Lucja ujmując ją mocno za rękę — teraz koniec zabawy, musisz już iść ze mną.

Droga polśniewała lekko. Powoli oczy oswajały się z ciemnością. Już

rozpoznawały zakłębienia ośnieżonych glinianek. Parkany i kominy składów budowlanych.

Szły coraz szybciej. Nie było wiatru, mroź znać tylko w smaku powietrza. Koło samotnych domków ogrodzonych drutem kolczastym widziały działka przeciwpancerne i Niemców zaczajonych na wiązkach rozświetlonej słomy. Lucja słyszała, jak między sobą mówili o niej, ale szła tak pewnie, że nikt



— Niech pani wraca do miasta — powiedział konduktor.

— Kiedy nawet nie wiem, gdzie jesteśmy...

— Na szosie, kawałek za rogatką. O tam, jest tor i cegielnie. Ruch taki, że lepiej niech się pani do któregoś domu schowa, wszędzie panie przyjmą, po co się na drodze kręcić...

Lucja słysząc te objaśnienia pomyślała, że gdyby przeszła pod wia-

duktem i pomaszerowała krótszą, pełną drogą mogłaby za trzy godziny być w zamku.

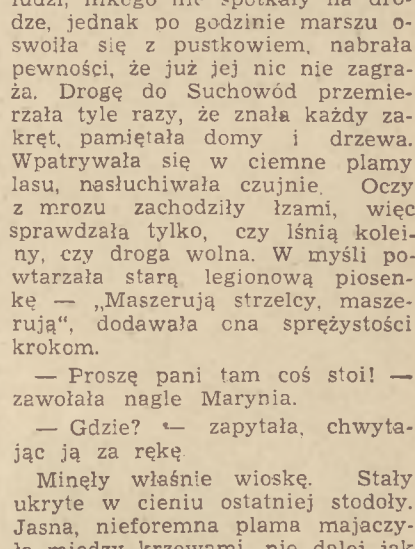
— Chyba nie każe mi się pani teraz wracać — powiedziała Marynia — pójdziemy pieszo. Pomodlim się do Anioła Stróża, ja się niczego nie boję.

— Słuchaj dziecko — zaczęła Lucja ujmując ją mocno za rękę — teraz koniec zabawy, musisz już iść ze mną.

Droga polśniewała lekko. Powoli oczy oswajały się z ciemnością. Już

rozpoznawały zakłębienia ośnieżonych glinianek. Parkany i kominy składów budowlanych.

Szły coraz szybciej. Nie było wiatru, mroź znać tylko w smaku powietrza. Koło samotnych domków ogrodzonych drutem kolczastym widziały działka przeciwpancerne i Niemców zaczajonych na wiązkach rozświetlonej słomy. Lucja słyszała, jak między sobą mówili o niej, ale szła tak pewnie, że nikt



— Niech pani wraca do miasta — powiedział konduktor.

— Kiedy nawet nie wiem, gdzie jesteśmy...

— Na szosie, kawałek za rogatką. O tam, jest tor i cegielnie. Ruch taki, że lepiej niech się pani do któregoś domu schowa, wszędzie panie przyjmą, po co się na drodze kręcić...

Lucja słysząc te objaśnienia pomyślała, że gdyby przeszła pod wia-

SZUKA DLA DZIECI i MŁODZIEŻY

Rozważania o baśni ludowej

Wertując zapiski O. Kolberga oraz innych zasłużonych zbieraczy folkloru, mimo woli jest się pod urokiem ludowej baśni, jej zmiennych obrazów, nastrojów, na przemian subtelnych i rubasznych.

Baśń ludowa dotrwała do naszych czasów w formie surowej, przekazana słowem chłopskiej opowieści. Forma ta jest często dla przeciętnego odbiorcy nieczytelna.

Przecież tak, jak się przedstawia w notatkach, przypomina blamy wspaniałej starej tkaniny, na której złote rysie, kolorowe ptaki, ludzie i diady na tle zieleni drzew tworzą piękny, choć nie zawsze zrozumiały wzór.

Nęci opracowanie tych baśniowych wątków. Wydaje się, że coś ważkiego nie zostanie dokonane, jeśli one nie trafią w formie książkowej do czytelnika.

Czytelnikiem baśni jest i będzie przede wszystkim — dziecko. Pisarstwo dla dziecka, to już pewna stylizacja, tym trudniejsza, że tematem tej stylizacji jest baśń ludowa.

Nauczono pisarza dla dzieci zastanawiać się nad tym, czy jego praca będzie czytelną wychowawczą, dydaktyczną. Zagadnienie to staje się bardzo skomplikowane, gdy mowa o baśni ludowej.

Peeria baśni ludowej jest sprężona z konkretem i jest tak blisko realnego życia, że starczy gestu czy formułki słownej, aby z planu rzeczywistego przerzucić się w plan baśni. Lektura tego rodzaju baśni oddziaływała bardzo silnie na wyobraźnię dziecka, pobudza ją i zastrza.

Dziecko potrzebne jest niechybnie poruszenie jego wyobraźni. Lecz baśń ludowa oddziaływując na nią, nie liczy się z tym w jakim kierunku to czyni.

Fabula jej, bystra i wartka, przetrząca akcję z miejsca na miejsce, z sytuacji do sytuacji z chyżyściwa Siwka-Złotogrywka. Akcja ta — prawdziwie — spływa krwią. Bohaterowi przynależało jedno: że jest altruista. Ale na tym i koniec. Dążąc do szlachetnego celu (po cudowny lek dla chorej matki, czy na ratunek uwężonej piękności) tnie mieczem wrogów na lewo i prawo,

Hanna Januszewska



EWA SZELBURG-ZAREMBINA

BAWIŁY SIĘ LIŚCIE

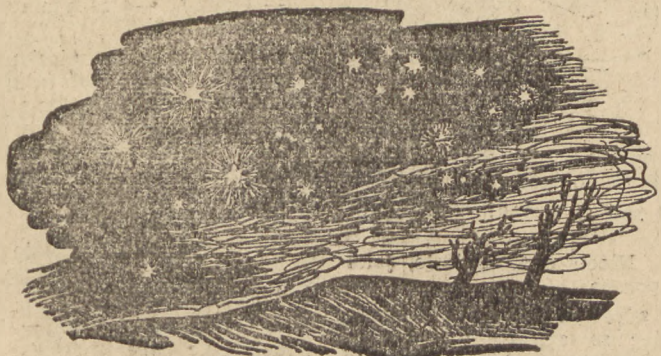
Baw"y się liście w „kosi, kosi łapci“:
— Pojdzem daleko, do Liścianej Babc!

Do Liścianej Babc, Liścianego Dziadka,
Nie będziem tu siedzieć, jak chce pani Matka! —

No i poleciały, lecz tyle wiem o tym,
Że nie mogli nigdy przylecieć z powrotem.

IDZIE NIEBO

Idzie niebo ciemną nocą,
Ma w fartusku pełno gwiazd.
Gwiazdy błyszczą i migocą,
Aż wyrzwały ptaszki z gniazd.
Jak wyrzwały — zobaczyły
I nie chciały dalek spać,
Kaprysy, grymasy,
Żeby im po jednej dać!
— Gwiazdki nie są do zabawy,
Toż by noca była złe!
Ej! usłyszysz kot kulawy!
Cicho bądźcie!... a a a...



Charakterystyka twórczości dla dzieci Ewy Szelburg-Zarembiny nie jest łatwa. Około pięćdziesięciu tytułów, wielka rozpiętość tematyki i bogactwo formy, wiele lat pracy, linia rozwoju i osiągnięcia pełnego wyrazu poetyckiego — oto elementy, które należy uwzględnić, jeśli charakterystyka tej twórczości ma być prawdziwa i wierna. Nie od razu też można się o to pokusić.

Jest jednak dziedzina pisarstwa Ewy Zarembiny szczególnie domagająca się analizy. Dziedzina stosunkowo niewielka, tym niemniej jednak bardzo ważna — **poezja dla najmłodszych**. Jest to rodzaj odrębny i specyficzny, reprezentujący najczystszy typ literatury rozrywkowej. W tym wypadku cecha ta jest cechą dodatkową, gdyż wynika z podstawowych założeń tego rodzaju literatury i jest jej punktem wyjścia. Istnieje bowiem pewna ilość utworów — nie tylko o charakterze rozrywkowym, ale i rozwijającym umysłowo, a więc z ładunkiem wiadomości czy zagadnień.

Ewa Zarembina ma wyjątkowy dar trafnego rozwiązywania trudnego zagadnienia, jakim jest wartościowa literatura rozrywkowa dla najmłodszych. I to właśnie jest jednym z powodów wyodrębnienia tej gałęzi jej twórczości, jako pierwszego tematu do charakterystyki jej pracy pisarskiej dla dzieci. Drugi powód — to szczególne zachwycenie tej dziedziny literatury, wskutek czego analiza wysokiej klasy pisarskiej w tym zakresie może być i praktycznie posunięciem korzystnym. Wreszcie trzeci powód — literatura dla najmłodszych powinna znaleźć wielkie za-

DLA NAJMŁODSZYCH

stosowanie dla dziecka na wsi, gdzie może pełnić swą funkcję czytelnia stosunkowo dłuższej i w szerszym zakresie niż w dzieci miasta, które szybko dojeżdżają i ulegają jeszcze innym, dawniejszym, trwałszym wpływom kulturalnym. Małe dziecko na wsi nie ma właściwie jeszcze do dzisiaj książki dla siebie.

Dzięki czemu dobra poezja dla najmłodszych — spełnić może swoją funkcję w bardzo szerokich kręgach dziecięcych? Specyficzny prymitywizm tego rodzaju wierszy, słuszny i kompozycyjnie zrozumiały, czyni je czytelnymi. Psychika małego dziecka jest mniej zróżnicowana w poszczególnych sferach niż u dziecka starszego, tyle tylko że małe dziecko jest małym umysłowo i psychicznie stosunkowo dłuższe na wsi niż w mieście, wrażliwość jego podatna jest bardzo silnie na muzyczną formę wiersza i na elementy uczuciowe. Małe dziecko jest jeszcze wrażliwe na poezję.

Wiersze czy proza poetycka dla najmłodszych percypowane są bardzo różnie i muszą być tematycznie i formalnie do tego przystosowane. Dzieci najczęściej tych wierszy — słuchają, uczą się ich na pamięć i recytują, czasem nawet śpiewają, bardzo rzadko czytają same. Muszą więc być one proste, raczej krótkie, bardzo rytmiczne i „muzyczne”, zbudowane z elementów najprymitywniejszych, których ułożenie i powiązanie z właściwą pointą czyni z nich zamknięte i odrębne ca-

łości, łatwo zrozumiałe i wpadające w ucho. Nad tymi wierszami dziecko nie powinno myśleć, powinno je słyszeć, przeżyć uczucie, powrócić, uśmiechnąć się lub zadziwić, w żadnym jednak wypadku się nimi znudzić czy znużyć. Wiersze dla najmłodszych to bajdy, bajdurzenie w formie poetyckiej, gdzie treść jest nijaka, czasem nawet bezsensowna, zwykle bez większego znaczenia, za to słowo — musi być pełne poezji, wdzięku, precyzji i plastyczności. Wiersz taki musi swą funkcję kształcącą spełniać jedynie przez przyzwyczajanie do prawdziwej poezji i osłuchiwanie z nią, **rozumienie** przyjdzie dopiero w latach dojrzałych. Dlatego wiersz dla najmłodszych jest najtrudniejszy do napisania, dlatego dziedzina ta leży odłogiem. Mało jest dotychczas talentów tego typu, ale wiersze Ewy Zarembiny stanowią tutaj rzadki wyjątek, realizując w pełni przedstawione założenia. A realizują je zarówno w odniesieniu do wierszy dla najmłodszych, jako lektury czysto rozrywkowej, jak i w stosunku do ich odmiany „kształcącej” umysłowo.

Jak się to dzieje? Klasycznym przykładem tej realizacji jest tom „Aaa kotki dwa”¹⁾. Ewa Zarembina spożytkowuje tam motywy piosenek i bajek, bardzo chętnie używa formy kołysanki, która uspokaja

¹⁾ Ewa Szelburg-Zarembina, „Aaa kotki dwa”. Il. Z. Piałkowska. Wyd. III. Gebethner i Wolff. Warszawa 1947.

Swojskość i egzotyka

nym słońcu, które uwydatnia koloryt i plastykę ożywionych i zagospodarowanych na grządkach warzyw, lecz jak gdyby — od kulis, rzecz dzieje się bowiem w piwnicy, stanowiącej zarazem domowy spichlerz i skład narzędzi. Ludzie są niewidzialni, natomiast główną rolę gra waga, worek, skrzynia, pajak, nietoperz, warzywa i rozbita szybka — bezpośredni łącznik ze światem „na górze”. Autorka postawiła sobie ambitny zamiar ukazania życia w piwnicy w takich konfliktach i związkach, jak gdyby to było życie zorganizowanego społeczeństwa. Po prostu zle, wynikające z chęci szkolenia innym lub tylko z lenistwa, powodują destrukcyjne skutki w skali społecznej i w imię wspólnego dobra muszą być ukarane. To ujęcie alegoryczne i wyraźnie zaznaczony sens moralny (waga — uosobienie sprawiedliwego sądu) nie czyni jednak utworu zbyt ciężkim; sprawa to żywioł dialogowy, humor i dobitna charakterystyka postaci.

Na uwagę zasługują ilustracje Anny Seifert, przypominające w stylu niezrównanego Sheparda, a to duży komplement.

Ilustrowanie przykładami niezliczonych motywów o charakterze swojskim zajęłoby zbyt dużo miejsca, z tej bowiem głębi wyrasta cała niemal nasza literatura dla dzieci młodszych. Ludowe gadki i rodzime piosenki o tańczących Michałach, o Pleciudzie, lub o tym, jak to „cztery mile za Warszawą” ożenił się wróbel z kawką — wzbogacone poetycką fantazją dają male arcydzieła, jak dzieje się to w cyklu wierszyków Januszewskiej „Jawor, jawor”. Temat jest tutaj tylko pretekstem, artystyczna inwencja — wszystkim.

W utworach egzotycznych sytuacja przedstawia się odwrotnie. Sam temat „gra” w sposób najbardziej bezpośredni, dla uzyskania efektu wystarczy czasem jedynie mechaniczne ugrupowanie elementów, a rysownik oraz inscenizator mają wspaniałe pole do popisu (przykładem „Dwa Michały” w krakowskiej „Grotesce”). Ot, choćby w „Koziołku Matołku” — palec chiński „jak porcelanowy czajnik” i kupiec z Bombaju, który pada na twarz i woła „Siwa wiwa! Ecze peca!” lub w „Sambo” Rogoszojny — pomarańczowo pęgowane tygrysy ubrane w części garderoby małego Murzynka i efekt gotowy.

Trzeba przyznać, że Anna Świrszczyńska w swej nowej, egzotycznej książce „Tygrys w kwiatki” (Wyd. T. Gieszczykiewicz, Kraków) nie poszła po linii tych łatwych efektów. Zaznacza się to w samym tytule, który jest egzotyczny — do kwadratu. Wydaje się, że przemalowywać tygrysa, drapieżne zwierzę, na różowo-kwieciste stworzenie (co jak co, ale ta okładka z różowym tygrysem pod secesyjnymi festonami trawistej kotary — nie jest szczęśliwa), autorka chciała zaznaczyć, iż władza jej poetyckiej fantazji jest absolutna, że nie po to wybrała temat egzotyczny, by zapoznać dziecko z elementami nieznanego mu rzeczywistości (jak to się dzieje w beletryzowanej pogadance), lecz dać mu na jej tle — jak gdyby artystyczne wariacje. Wariacje niewątpliwie rzućne i udane. Miecety i lektyki, broda szacha i tureckie bambosze, ananasy i prażony bób — wszystkie te rekwiizyty — uplastycznione pięknymi, dowcipnymi i świetnie wmontowanymi w tekst ilustracjami Szancera, mienią się na kartach książki niczym kunsztowna mozaika. Forma nieregularnego, swobodnie płynącego wiersza o wyraźnie zaakcentowanych i świeżych asonansach (oswajanie dziecka z łatwo dostrzegalnym rytmem nieuprzednim jest pożytecznym wstępem do zerwania z tyle-

kość atakowanym „kataryniarstwem”) — pełna jest artystycznych niespodzianek. Dorosły widz jest zachwycony, odpczywa chętnie po monotonna kołysankach „swojszczyzn”. Ale dziecko? Czy odnie się ono z utworu tego większą niż z tamtych — korzyść? Czy nagromadzenie egzotycznych efektów nie będzie stanowiło warstw izolującej, przez którą ani wiedza o życiu na Wschodzie — nielotna zresztą dla dzieci najmłodszych — ani wartości artystyczne nie będą się mogły przesiłniać? Dziecko cztero — a nawet sześciolatek nie słucha z uwagą wstępu, który głosi, że „w ciemnym lesie, fakt to rzadki, urodził się tygrys w kwiatki”, lecz uważa jego nie podaża oczywiście za taki m o rozważaniach: „Choćbyś miał nawet rację, to zmienia sytuację. Każdego możesz zapłacić, to nie jest rzecz przyzwoita”, lub „I w rozpacę popadłszy czarna, mruzeł, że wszystko jest marności”, zaś dziecko ośmioletnie uzna już tę książkę za zbyt dziecinna. Autorka często, podobnie jak Brzechwa, ulega pokusie dowcipnej interpretacji faktów według sposobu myślenia dorosłych, a tam, gdzie się temu nie poddaje, osiąga o wiele lepsze wyniki, np. w najciekawszej z całego cyklu opowieści o wozowodzie. To egzotyczne nie jest tu znaną rozburowane, najwzniejsza jest akcja, ujęta w ramy powtarzających się refrenów; autorka skoncentrowała fakty w kilku urozmaiconych sytuacjach, upodobnionych zabawną pointą (ananasy, który tocząc się, ciągle kogoś uderza w nos), całość przesyła doskonale dla małego nawet dziecka wyczuwalną atmosferą upału i związanego z nim lenistwa, wreszcie zakończyła obrazkiem „rodzinnym”, co zawsze do dzieci przemawia. I tutaj zdaje się, dochodzimy do sedna zagadnienia. Tematyka egzotyczna musi być ujęta w ten sposób, by była dla dzieci — swojska, by wyczuwały i tutaj klimat, w którym mogą się czuć dobrze. Cały dziwny, nieznan świat jest dla dziecka egzotyczny, zaś autorzy sobie tylko znanymi sposobami winni je w nim oswajać, ucząc myślenia kojarzenia i przeżywania w sposób konstruktywny dla jego psychiki. Jeśli dzieło się inaczej, dziecko doznaje tylko migawkowych, chaotycznych wrażeń, które mają bez śladu.

„Tygrys w kwiatki” jest książką artystycznie o wiele lepszą niż powojenne wierszyki Świrszczyńskiej na temat swojskie. Egzotyka przemawia widać silniej do jej wyobraźni i bardziej odpowiada jej indywidualności twórczej. Jest to rzućne i subtelne cacko, zdradzające najlepsze cechy jej pióra. Dorosły czytelnik jest jednak chwilami — rzecz dziwna — zawstydzony. Jak gdyby się obawiał, że w tych uroczych igraszkach dziecko może dostrzec artystyczną kpinę, że w pewnym momencie pozna się na żarcie, który odbywa się po trosze — jego kosztem. W konkluzji trzeba stwierdzić, że egzotyka — to teren niebezpieczny nawet dla prawdziwych poetów. Bo czyż podróżując po morzu swojszczyzny posługiwaliby się fantastyką, tak prymitywną jak na przykład — przemalowywanie muchomorów — na seledynowo biał zamiana łat krowich na paski? Egzotyka kuśi albo do pogadankowej nudy, albo do efekciarskiej łatwizny, albo do gry intelektualnej i dobrych kawałów.

Niedobrze, gdy krytyk staje się mentorem. Swojskość jest całe morze, a egzotyki jedna kropka. Choćby dlatego należy ją cenić. A to, co zostało napisane, ma być ostrzeżeniem. Sytuacja bowiem stałaby się naprawdę groźna wówczas dopiero, gdyby „tygrys w kwiatki” wydał liczne potomstwo.

Krystyna Kuliczowska

słuchające dziecko i wprowadza je całe w rytm wiersza (kołysanie). Operuje czułością matki do małego odbiorcy i czułością dla życia i świata, przez co czyni dziecko podatnym na wzruszenia, które stanowią drogę wiersza ku dziecku. Liryzm tych wierszy, często smutna refleksyjność, nienadużywanie uśmiechu — czyni je prawdziwie ludzkimi i — przekonywającymi. W wierszach tych wyczuwa się szczególną „dwoistość”: uproszczoną „akcję” i liryzm wiersza obok „obecności” dziecka-odbiorcy, do którego poetka się zwraca, którego reakcje podaje i w treść wprowadza. Ażeby znaleźć upodobanie w tych wierszach — nie trzeba nic wiedzieć ani rozumieć, wystarczy być dzieckiem i słuchać.

Trudniejszym już nieco utworem są „Wesołe hisorie”²⁾, zbiór prozy poetyckiej o ogromnym wdzięku i lekkości w pomysłach i ich wykonaniu. Wymowny dla treści rytm, rytm włączający poszczególne człony formalne prozy i jej treści, symetryczność konstrukcji, powtarzanie muzyczne wątków treściowych — obok humoru i napięć dramatycznych dają pełną ruchy całość, bardzo dla dziecka powabną. Składa się ona z elementów niezmiernie prostych i prymitywnych, z faktów „malutkiego” życia, które w transpozycji poetyckiej, a jednak czytelnej — staje się nową, odmienną całością, pomyślaną w innym wymiarze.

Całkiem odrębne podejście realizuje książeczka „W miasteczku Zapakowie”³⁾. Jest to rzeczowe i proste zestawienie dwu elementów: wiersza i zabawki. Wiersz staje się tematem do urzeczywistnienia w postaci samodzielnie robionych przez dziecko zabawek — drobnych, najprostszyc zdarzeń z życia, które czegoś uczą i o czymś mówią. Już w „Wesołych historiach” ten wątek uczenia zaznaczył się lekko, tu występuje wyraziście, aby w „Towarzyszach”⁴⁾ wystąpić całkiem dobitnie. Ewa Zarembina zestawia w tym tomiku: „funkcyjne” pary — ludzi i zwierzęta, przeprowadzając paralele prac i czynności jednych i drugich. Idąc od rzeczy łatwych do trudnych, wskazuje proste związki i akcentuje to prostym i krótkim wierszem. Podkreśla walorem formalnym piękno i sens ludzkich i zwierzęcych prac i czynności i ich równorzędnosć. Jest to krok pierwszy ku wiedzy i obserwacji, ku głębszemu rozumieniu istoty niektórych zjawisk.

Dalszy krok po tej drodze to — „Po nitce do kłębka”⁵⁾, „Podróż po mieście”⁶⁾, „Mali Braciszki”⁷⁾. Ewa Zarembina ujmując konstruktywnie pewne zdarzenia i zagadnienia, ujawniając sens, o który jej chodzi. Zjawiska tak niezłożone i bliskie dziecku, jak szczyta, praca robotnika, czynności matki, szkoła — tłumaczy logicznie „po nitce do kłębka”, jako zespół spraw, które składają się na pracę i wyjaśniają jej społeczny pożytek. „W podróży po mieście” autorka rozwija to zagadnienie jeszcze szerzej, podkreślając konieczność organizacji życia dla spełnienia obowiązku pracy — na konkretnych faktach, które wypełniają dzień w mieście i rozgrywiają się na tle tego piękna i szarości oraz ułatwień, dla niego charakterystycznych (tramwaj — stad podróz). Ten konkretyzujący abstrakcyjne zagadnienie chwyt kompozycyjny, czyni całość zrozumiałą, łatwą, ciekawą i prostą.

„Mali Braciszki” ilustrują sprawę życia społecznego, jako celu działania. Ewa Zarembina odzwierciedla typy dzieci z całego świata, podkreślając jednocześnie ich cechy specyficzne i braterskie powiązanie ich społecznych losów. W ten interesujący dla dziecka sposób odsłania przed nim sens ogromu światowej ludzkiej rodziny. Wprowadza ona postaci dzieci wszystkich środowisk, wskazując jako więź je łączącą — pracę i trud.

Ta krótka charakterystyka jednej z dziedzin twórczości Ewy Szelburg-Zarembiny jasno wskazuje, że nawet w tak specjalnych utworach, jak wiersze dla najmłodszych, reprezentuje ona wielką rozpiętość zagadnień, postawę rzeczową i społeczną obok czysto poetyckiej, bogactwo formy. Albowiem Ewa Zarembina oscyluje w nich pomiędzy różnorodnością środków wyrazu poetyckiego — a oszczędnością i powściągliwością ich uprząszczaniem, między poetycką kompozycją — a konstruktywno — logicznym powiązaniem elementów całości. Raz wzrusza i zachwyca, i tam jest najbardziej sobą, kiedy indziej uczy, pokazuje, odsłania proste tajemnice — tym najmniejszym, którzy jeszcze nie mogą rozumieć, ale już mogą i chcą — widzieć. Wiersze Ewy Zarembiny dla najmłodszych stanowią jedną z najciekawszych dziedzin jej bogatej twórczości.

Aniela Mikućka

²⁾ Ewa Szelburg-Zarembina. Wesołe historie. Wyd. II. Księgarnia Naukowa. Toruń 1948.

³⁾ W miasteczku Zapakowie. Il. J. Bocianowski. M. Arct. Warszawa.

⁴⁾ Towarzysze. Il. J. Bełdowska. Państw. Zakł. Wyd. - Szkolne. Warszawa 1948.

⁵⁾ Po nitce do kłębka. Il. A. Bieracka. Łódzki Instytut Wydawniczy. Łódź 1947.

⁶⁾ Mali Braciszki. Il. M. Hyspańska. Sp. Wyd. Wiedza, Warszawa 1947.

⁷⁾ Podróż po mieście. Il. W. Sieniatkowski. Nowa księgarnia. Warszawa 1948.

■ Teatr ■ Teatr ■ Teatr ■ Teatr ■ Teatr ■ Teatr ■ Teatr ■

TADEUSZ BREZA

Jubileuszowy „Fantazy”

Teatr Polski w Warszawie obchodził zeszłego tygodnia swój jubileusz. Trzydziestopięciolecie! Z tym jubileuszem wiązał się drugi jubileusz, jubileusz Arnolda Szyfmana, który czterdzięci lat temu po raz pierwszy został dyrektorem teatru. To jeszcze żaden rekord. Rekordem jest suma lat dyktury Szyfmana w Teatrze Polskim. Dwadzieścia pięć lat dyktury w jednym teatrze — to rekord europejski, a może nawet — jak twierdzi Karol Frycz — rekord dziejowy. Rekord, tym większe budzące zdumienie, że padł w naszym kraju, w kraju zmian, wojen i rewolucji, ciągle przewracających wszystko do góry nogami. Pisał już o tym ktoś niedawno i wyliczył, że po ostatnim przewrocie znalazł w Polsce tylko trzech ludzi, którzy się utrzymali na swoich dawnych wzniesieniach: Sapieha na Wawelu, Szyfmana na Teatrze Polskim i Iwaszkiewicza na Stawiskach. Te trzy osobistości powinny razem obchodzić jakiś jubileusz za wytrzymałość.

Teatr Polski trzydziści pięć lat temu wystawił na swoje otwarcie „Irydion” Zygmunta Krasinskiego. Teraz zaś na swój jubileusz wystawił „Fantazy”, który — jak wiadomo — jest pamfletem na tego Zygmunta. Pewnie stało się to przypadkiem, bo najczęściej wszystkie te zdarzenia, otwierające nagłe i nieoczekiwane perspektywy, zachodzą przypadkiem. Przypadek jednak trzępił, że to zestawienie „Irydion” i „Fantazy” — ma swoją wymowę. Wielki, karkołomny i nadnaturalny „Irydion” i właśnie z takich karkołomności i nadnaturalności powstają „Fantazy”. Czy znaczy to, że „Fantazy” jest lepszy i mądrzejszy? Nie sądzę i w to nie wchodzi. Jest nam tylko bliższy i bardziej nasz, bardziej na czasie. Nadaje się lepiej na przedstawienie na wielki dzwon dzisiaj, tak samo jak „Irydion” nadawał się tamtej epoki, które dech zapierało, kiedy słuchała „Irydion”, a która — jak informuje Lorentowicz — niecierpliwie „Fantazy”, że taki nie na serio. Nam dzisiaj wręcz odwrotnie: właśnie arcywniosły i arcyromantyczny „Irydion” może się wydawać nierealny, a właśnie realniejszy i bardziej trzeźwy może się wydawać „Fantazy”, chociaż też jest przesycony po brzegi romantyzmem. Tylko że innemu, bardzo specyficznemu. Romanizm w „Fantazy”, to romantyzm — jakby powiedział Zawiastycki — pełen w stosunku do siebie pokory i dystansu, czy też — jakby powiedział Wazyk — romantyzm, który siebie poddaje samokrytyce.

„Fantazy” nosi drugi tytuł „Nowej Dejaniry”. Zanim przejdę do nowej, wspomnę najpierw kim była stara Dejanira. To żona Herkulesa, który był wielkim siłaczem, ale kiepskim pływakim. Toteż kiedy się znalazł razem ze swoją panią nad pewną rzeką, musiał skorzystać z pomocy centaury Nessusa, by mu przeniósł połowicę na drugi brzeg. Potem się jednak zirytował, jak się یرytuje każdy mąż na widok innego mężczyzny, który coś lepiej potrafi, i wpakował mu strzałę w zadek. Mit ten, którego mi się nie udało opowiedzieć z należytym szacunkiem, jest w swej wersji autentycznym mitem bardzo serio. Nie u Słowackiego! Nowa Dejanira u Słowackiego to stara, śmieszna baba z „twarzą kuchcianą w fontażu czerwonym, której porwanie nastąpiło przez nieporozumienie. Z tej całej historii i z całego mitu Słowacki pok-

piwa. Podaje go w zmodernizowanej wersji: śmiesznej. Tak więc nie tylko zdobywa się na dystans w stosunku do pasji romantyzowania, ale i do pasji mitologizowania. Mało mu tego! W „Fantazy” również drwiako przysłuchuje się temu, co musiało mu być najdroższe jako romantykowi: własnej poetyckiej mowie. — „Tej — jak powiada sam — kaszy z gwiazd, z dyamentów — z kwiatów”...

Ciekawe, że ten podręcznik stosunek do własnych środków i do własnej postawy w „Fantazy” jeszcze dodaje głębi stosunkowi Słowackiego do cudzych postaw i do cudzych spraw. Jakoś tu w „Fantazy” wszystko jest bardziej ludzkie, głębsze, delikatniejsze. Zławsza przy lekturze raz po raz odnosi się wrażenie, że to przesycone przekorą traktowanie obowiązujące ówczesnej religii artystycznej — mówię o romantyzmie — wzbogaca inwencję i zbliża Słowackiego do ludzi. Odrywa od baśni, od legend, od historii, osadza we własnej współczesności. Słowacki pisze „Fantazy” w r. 1841, w tymże roku, w którym „Fantazy” niby to się dzieje. Pisze go z ogromną swobodą, śmiałością, coraz to wyskakując mu spod pióra sceny bez żadnych literackich filiacji, zdumiewające świeżością i siłą. Akt piąty „Fantazy” z niczym się nie da porównać. Z dwu połów złożony, z pierwszej — gdzie Fantazy opowiada o samobójstwie, tyle, tak pięknie, tak oszalałymi, i z drugiej — gdzie major popełnia samobójstwo tak skromnie, tak po prostu. Gdzie u Słowackiego scena takiej siły? Gdzie podobna w literaturze? A hrabina Idalia, ta „rozwódka, sąsiadka”, w pierwszym akcie półśmieszna, jak się od swojej śmieszności zwolna, po ludzku, oddala, jak — i ona także — „cudownie ogromnie”. — Zdanien historyków literatury, to pani Joanna Bobrowa, w której się podkochiwał Słowacki, a Krasinski znalazł kochankę, bijąc Słowackiego na głowę. Stąd przy przenoszeniu tego modelu na papier zamierzona przez Słowackiego cierność Stąd również, w miarę pisania, zmienia. Bardzo zresztą charakterystyczna. W miarę pisania bowiem model przestaje być dla pisarza wspomnieniem, a zaczyna być jak ktoś obecny. Jeżeli czarował, zaczyna z powrotem czarować.

Teatr Polski przygotował się do jubileuszowego spektaklu z niezwykłą starannością. „Fantazy” powierzył znakomitemu, jak zawsze, Wiercińskiemu, oprawił w przeszliczne dekoracje Roszkowskiej, opatrzył w delikatną muzykę Lutosławskiego. W sumie odniósł zwycięstwo, zastawił się, a postawił. O lepszym „Fantazy” marzył dzisiaj było by nie realne. Zresztą należy on do utworów, które trzeba na scenie nie tyle zagrać, co wywołać, jak ducha na seansie. Czasem szczytowa obsada nie da rady, a uda się w innej. Podczas jubileuszowego przedstawienia ten duch w wielu scenach się ukazał.

Kogo na pierwszy ogień wymienić? Jana Kreczmara, który zapewne w strachu bożym wziął po Osterwie tę rolę, grywaną przez niego jeszcze po wojnie. Kreczmar był interesującym Fantazym. Zławsza kiedy drwił i rezonował, w partiach lirycznych wydawał się za ostry, za suchy, w partiach wariackich za mało przekonujący. W wielkiej scenie dramatu, w której idąc do grobu jeszcze czaruje, był za mało urzekający. Musiał nawet Idalię za rękę pociągać, wlec na siłę, by uczynić jej postępowanie, jej kroki do grobowca, gdzie

mają się oboje zabić, prawdopodobnymi. Sam głos Kreczmara, samo słowo nie wystarczało. A hrabina Idalia Janiny Romanówny? Trochę wiersz cięta na cząstki, ale ileż miała liryzmu. Jak pięknie odwzorowała powrót do domu na początku czwartego aktu. No, a jakież portretowy wygląd, ile gracji! Podobnie Elżbieta Barszczewska, jako Diana, prześliczna, żarliwa, a jaka godna w słynnej reprimendzie dawanej Fantazemu pod koniec pierwszego aktu. A hrabina Respektowa? Kreowała ją Leokadia Pancewicz-Leszczynska. Mówiła wiersz jak anioł, wyglądała jak posąg, tylko traktowała swoją hrabinę za poważnie. Miła, żywa znakomicie podająca tekst Stelkę wyszukał sobie teatr w osobie Zofii Mrozowskiej.

Doskonałym Janem, zesłanym na Sybir w solidary, był Mieczysław Milecki, z roli na rolę coraz większy i głębszy artysta. Jego pieśń w drugim akcie — „Jam nie wasz!” — ni to śpiew, ni to wycie, poruszała do głębi. A rozmowy ze Stelłą, z majorem, z księdzem Logą. Wyborne! Księdzem był Brydziński. Świetny artysta. Ileż tkliwości miał w sobie jego kapłan-dziaduś. Respektem był Bracki, Bardziej ojciec niż wielki pan. Oczywiście mówiąc już w skali oceni. Na koniec — Aleksander Zelwerowicz, chwala naszego teatru, jak zawsze pełen animuszu i subtelności. Rola majora to dla niego coś na jeden zab. Kto wie nawet, czy nie zanadto na jeden Uderzało to w ostatniej scenie, w wielkiej arii konającego starucha, tej arii, która najczęściej się tak widzowi duży, nieprzypodobi. Mimo niezwykłego talentu Zelwerowicza, w tym spektaklu przygotowanym na jubileusz dużyła się też. Major jęczał, i tylko jęczał. A przecież to umiera żołnierz, który tymi niekończącymi się opowieściami trzyma się resztek życia, tymi opowieściami i refleksjami, które, przynajmniej w lekturze, mają ton żywy, gwałtowny. Toż nawet hrabina Idalia w pewnej chwili woła: — „Na Boga, Majorze! Krew ci się rzuca do rany...” mów spokojnie! U Zelwerowicza monotonny cień śmierci padł na całą scenę. Przysiągł tempo.

Wspominałem już o dekoracjach. Piękne były! Wspominałem o reżyserii, świetnej! Można by się jednak spierać o samą zasadę przedstawienia. To był bardziej jubileusz niż „Fantazy”. Z większym naciskiem położonym na to, co jest głębią w sztuce, niż na to, co jest w niej zabawa. Na to, co jest w niej stylem, niż na to, co jest w niej drwiną. Przez znaczną część sztuki Słowacki ironizuje, robi z Idalii i Fantazego parę wariatów. Zgodnie zresztą z ich prototypami, o których nawet powściągliwy ojciec Zygmunta, stary generał Wincenty pisał: — „Jam zmęczony głupstwem Zygmunta z p. Bóbr, które z nich więcej wariat, nie mogę osądzić”. — A gdzie indziej: — „W całej tej awanturze nie ma nic miłości, jest kaprys, imaginacja i zdaje mi się, że jest bohaterem romansu i wiktimo przesądów i władzy rodzicielskiej”. — Tej ironii i imaginacji, i kaprysu mało było w spektaklu. Głównie u Roszkowskiej, która dała dekoracje śliczne, lecz zrównoważone. Nabudowała salonów, krzyżów i drzew, cudownych, zwłaszcza jeśli chodzi o te pierwsze. „Fantazy” w nich jednak spowaźniał. Ale nie wybredajmy! Spektakl był piękny. Jeden z najlepszych. Taki, którego się nie da zapomnieć.

Tadeusz Breza

SPRAWY

Od Knyszyna do Przysietnicy od Reclawia do Piastowa

Fakty, od jakich rozpoczął, ważnemu czytelnikowi prasy literackiej znane są częściowo z wielu relacji uczestników. Oto z wiosną bieżącego roku Instytut Kulturalno-Oświatowy „Czytelnika” urządził przy współudziale Związku Zawodowego Literatów Polskich wielki i pozbawiony dotąd wzoru najazd pisarzy na wieś polską. Najazd miał na celu zbadać zakres i możliwości czytelnictwa w miejscowościach i wioskach tak dobranych, by z sieci, jaka je zagarnęła, mogła powstać pewna przeciętna prowincji i wsi polskiej. Nie piszę głębokiej i dalekiej, ponieważ ta prowincja rozpoczyna się nieraz o krok za rogatkami większych miast, a nawet wkracza na ich przedmieścia.

Najazd objął bez mała sto miejscowości, mniej więcej równomiernie rozłożonych na obszarze całego państwa, wzięło w nim zaś udział dwudziestu sześciu pisarzy. Ponieważ pisarzy było mniej aniżeli miejscowości, łatwiej nam przyjdzie wymienić ich nazwiska:

Tadeusz Breza, Roman Bratny, Wojciech Bąk, Jan Brzechwa, Stanisław Czernik, Maria Dąbrowska, Franciszek Gil, Zdzisław Hierowski, Jarosław Iwaszkiewicz, Anna Kamińska, Kazimierz Koźniowski, Anna Kowalska, Tadeusz Kudłinski, Jalu Kurek, Hanna Malewska, Gustaw Morcinek, Stanisław Pięta, Ksawery Fruszyński, Aleksander Rymkiewicz, Władysław Rymkiewicz, Michał Rusinek, Kazimierz Zenon Skierski, Janusz Stepiński, Wilhelm Szewczyk, Ewa Szemburg-Zarembina, Jerzy Zawieyski.

Jak widzieli, wśród tych partyzantów nie zabrakło najgrubszych szyszek literackich. Piszę najazd, piszę partyzant, ponieważ pisarze wyjeżdżali do owych wszystkich Końskowoli, Ogrodów i Rozłazów niezaopatrzeni w żadne dokładne instrukcje czy kwestionariusze, ale po prostu — zasięgając języka w bezpośredniej rozmowie, w bezpośrednim kontakcie z mieszkańcami Kokawy, Lubczy i Sielunja. Jak na podjęcie, jak na zwładzie. Można było wątpić, czy tego rodzaju metoda da jakieś obiektywne wyniki. Czy z zerknięciem się pisarzy z egzotycznie rozmaitych prowincji i wsi polską wywnioskować więcej nad barwny, a nieraz ponury reportaż z tzw. „terenu”. (Nienawidzę tego słowa! Ilekroć przyjeżdżasz do Warszawy i szukasz osobnika nie zastaniesz w ministerstwie, powiadając: „Wyjechał w teren”. Za Aninim i Szczęśliwami wszystko dookoła jest tylko „teren”. Kraków — teren, Gdańsk — teren, Wrocław — teren!)

Ogłoszone wrażenia uczestników najazdu tej wątpliwości nie rozwiewały. Dopiero w opublikowanej niedawno przez Instytut Kulturalno-Oświatowy „Czytelnika”

pracy zbiorowej „Badanie Czytelnictwa” znajdujemy rozprawę Konrada Bartoszewskiego pt. „Czytelnictwo na wsi w wypowiedziach pisarzy”, która nie tylko usuwa wszelkie wątpliwości, ale — nie uprzedzamy wniosków. Wymienione opracowanie przeczytałem jednym tchem, a pokreśliłem jak mała którą książkę. Niestety, do bibliofilów nigdy mnie nie przyjmą. Cóż się bowiem okazuje? Właśnie ta partyzancka metoda dała wyniki nie mniej ważne aniżeli skrupulatna i według wszelkich zasad zbiorowego wywiadu przeprowadzona anketa.

Ujmuję to Bartoszewski w następujących zdaniach: „Zebrane w ten sposób materiały, nie na drodze jakiejś metody badawczej, ale po prostu drogą indywidualnych, często przypadkowych spostrzeżeń, ułożone w pewnym stopniu od postawy pisarza, są mimo pozorów obiektywności materiałem subiektywnym. Może się to wydać paradoksem, ale ten moment przesądza o swoistej wartości tego właśnie sposobu badania. Jeśli zwazymy, że dwudziestu kilku pisarzy o różnej postawie ideowej, różnymi sposobami w różnych warunkach i w różnych środowiskach docho- dzili do tych samych wniosków i uogólnień, to nie ulega kwestii, że wnioski te mogą mieć nie mniejszą wartość niż wnioski oparte na materiałach, zebranych za pomocą ankiet ilościowych”.

Jakież są te wyniki? Tak nieoczekiwane obfite i urozmaicone, że z mnóstwa zagadnień, jakie z relacji pisarzy Bartoszewski formułuje w sposób naprawdę inteligentny i rozumny, tylko niektóre zdołałem podać w bieżącym tygodniu. Te mianowicie, które mówią, gdzie czyta się na wsi książki i jakie to książki czytać się pragnie. Te zaś, które mówią, gdzie w Polsce się książki nie czyta, nawet w rozmiarach tak słabego czytelnictwa jak czytelnictwo wiejskie, które również mówią, dlaczego się nie czyta — nastąpią za tydzień.

Choćżak tak temat dzieł, wszystko co napiszę mieć będzie jedynie charakter próbki i dowodu. Próbkę zachęcającą każdego, kogo obchodzi zagadnienia czytelnictwa, by sięgnął do opracowania Bartoszewskiego. Dowodu na twierdzenie, że pisarzom udało się pochwycić języka w sprawach najbardziej ważkich. Te sprawy najbardziej ważne dotyczą istotnych „apodobań” czytelnictwa wsi. Kogo wieś najchętniej czyta? „Wies czyta klasyków, bo ci dają jej powieść zrozumiałą i realistyczną w formie, choćby nawet najbardziej fantastyczną w treści. Wies czyta chętnie klasyków, bo problematyka ich powieści jest idealistyczna, stwarza pewne wzorce idealne, porządkuje wyobrażenia człowieka prostego o życiu, stwarzając sze-

reg typów, daje miarę, którą może on przykładać do ludzi żyjących, oceniać ich i klasyfikować, słowem ułatwia mu ocenę życia, uczy o kategoriach i wartościach moralnych”.

Skąd taki właśnie układ upodobań? Bartoszewski trafnie go wyjaśnia następującymi okolicznościami: „Wies nasza stopniem swego rozwoju kulturalno - narodowego odpowiada w pewnym stopniu środowiskom, które wydały w swoim czasie pisarzy klasycznych. A raczej środowiskom, które zapewniły powodzenie ich twórczości (to raczej jestem skłonny trzykrotnie podkreślić! — przypisek k.jw). Wies wchodzi w okres pełnego asymilowania tych wartości, które stanowiły główną podtętnę dla pisarzy klasycznych. Wies chce przyjąć i przyswoić sobie wszystko, co stanowi o charakterze narodu wraz z jego tradycją włącznie, chce wziąć w posiadanie na własność całą jego bogatą historię i tradycję”.

Nie tylko to! Wies widzi równocześnie w książce drogę awansu kulturalnego, sposobność do otwarcia okna na szeroki świat. Widzi to pod każdym względem. „Wszystcy bez wyjątku rozmówcy, wypowiedzieli się przeciw gwarze w tak zwanej literaturze wiejskiej. Gwara — w ich przekonaniu — obniża wartość książki przeznaczonej jakoby tylko dla jednego regionu lub jednej klasy społecznej”. Podobnie wieś patrzy na książki ograniczone swoim tematem wyłącznie do środowiska wiejskiego. „Wydaje się, że gdyby tak postawił przeciętnemu czytelnikowi wiejskiemu do wyboru książkę o tematyce wiejskiej i nie - wiejskiej, to według wszelkiego prawdopodobieństwa należało by przypuszczać, że wybór padłby na tematykę nie-wiejską”.

Miałem pisać, a tymczasem cytuję i cytuję niczym sam Kazimierz Czachowski. Dlatego, ponieważ rozprawa Bartoszewskiego tak jest skondensowana i napeczniała od zagadnień słusznie rozwiązanych, że wystarczy wybierać i cytować. Tyle o próbkach. Dowód zaś zapowiedziany wynika stąd sam: wio-senna wyprawa partyzancka pisarzy na wieś polską wydała pełne owoce. Nie znaczy to, ażeby jedynie w sposób dorywczy i improwizatorski należało badać zagadnienia czytelnictwa i upodobań czytelnictwa. Wyprawa ta stanowiła jedynie fragment szeroko pomyślanej i starannie przeprowadzonej akcji badań czytelnictwa. Była czymś w rodzaju pytania krzyżowego, mającego sprawdzić wartość danych osiągniętych za pośrednictwem innych pytań. Sprawdzenie się powiodło.

A gdzie się w Polsce nie czyta na wsi, dlaczego się nie czyta i czego się nie czyta — za tydzień.

k.jw

Notatnik muzyczny

Prostota czy prostactwo? O „Kwartalniku Muzycznym”

Pojawienie się pierwszego od wojny, podwójnego numeru „Kwartalnika Muzycznego” (Rok VI, nr 21-22, styczeń — czerwiec 1948, Polskie Wydawnictwo Muzyczne, Warszawa — Kraków) jest wydarzeniem,

które powinno się odbić głębokim echem w naszym środowisku muzycznym. „Ruch Muzyczny” wydawany w Krakowie i wychodzący 2 razy na miesiąc jest pismem, którego zasięg ma być szeroki. „Kwartalnik” jest bardziej specjalny, ma się do „Ruchu” tak jak np. „Twórczość” do któregoś z naszych tygodników literackich.

Wznowienie przez Ministerstwo Kultury i Sztuki „Kwartalnika Muzycznego” świadczy o wielkim rozumieniu podstawowych zagadnień artystycznych. Sztuka jest dziedziną, której ostatcznym celem i ideałem jest prostota. Jednakże, aby je osiągnąć, należy się do niej wnieść, i należy wyjść na jej szczyty, a nie schodzić w dziedzinę, w których zamiast wielkiej prostoty panoszą się, tanie prostactwo. O różnicy tych dwu pojęć warto mówić właśnie teraz, gdy toczy się otwarta walka o dostępność, popularyzację i zasięg sztuk pięknych. Celowo i świadomie podkreślam różnicę tych pojęć, która jest równie wielka, jak różnica pomiędzy nieudolnym „przryzaniem” pięknej piosenki ludowej a jej pierwotnym wzorem czy pieśnią Schuberta.

Prostota w sztuce to rzecz paradoksalnie złożona. „Pan Tadeusz” jest niewątpliwie prosty, jednakże jego autor poznał całe piekło artystycznych komplikacji, zanim sobie na ten tak prosty wyraz mógł pozwolić. Chopin — zresztą, wcale nie tak prosty dla wszystkich, gdy pisał swe dzieła — trawił długie godziny nad wyszukiwaniem najprostszego kształtu dla swych pomysłów muzycznych.

W pierwszym po wojnie numerze „Kwartalnika” znajdujemy na wstępie pracę prof. A. Chybińskiego o Wacławie z Szamotuł (XVI w.), która wykazuje, jak silne było tętno polskiego, i to czysto polskiego ruchu muzycznego na dworze Zygmunta Augusta.

Trzy prace związane z twórczością Chopina są cennym przyczynkiem do zbliżającego się „Roku Chopinowskiego”. Ks. dr H. Feicht pisze o rondach Chopina, a dr L. Bronarski o mazurku i dwu niezna-

nych dotąd kompozycjach, z których jedną (Largo) przeznaczył młody Chopin — z danie autoru artykułu — na hymn narodowy. Jest to chorał w typie „Boże, coś Polskę”.

Dr Łobaczewska publikuje wstęp do monografii o Karolu Szymanowskim, a dr Chomiński analizuje jego sonaty fortepianowe. Dr Późniak pisze o niezrealizowanych operach Moniuszki.

Aktualny wydźwięk ma praca dr Lissy o „aspekcie socjologicznym w polskiej muzyce współczesnej”. Pracę tę omówię osobno, wraz z artykułem tej autorki w nr 1 „Nowych Drog”, artykułem St. Kisielewskiego w nr 10 „Znak” („Czy muzyka jest niehumanistyczna?”) i wypowiedziami radzieckimi (Zdanowa, Chrennikowa, Szaporina). Artykuł prof. K. Regameya w „Kwartalniku” („Próba analizy ewolucji w sztuce”) dorzuca wiele głębokich uwag do tego tak żywo dziś dyskutowanego zagadnienia. Nie mogę się powstrzymać od zacytowania tu zdania z „Testamentu artystycznego” Rodina, który nie był zły ani „hermetycznym” rzeźbiarzem: „Bądźcie głęboko, brutalnie szczerzy. Nie wahajcie się nigdy wyrażać tego, co czujecie. Nawet kiedy znajdziecie się w opozycji do ogólnie przyjętych idei. Może nie zostaniecie od razu zrozumiani. Ale odośobnie wasze potrwa krótko; wkrótce będziecie mieli przyjaciół. Co jest bowiem głęboko prawdziwe dla człowieka, jest prawdziwie również dla wszystkich”. Nie potrzeba chyba dodawać, że słowa te odnoszą się do tych, i tylko do tych, którzy istotnie „mają coś do powiedzenia”.

Dr Z. Estreicher nadał ciekawą pracę o melodyce Eskimosów, z której każdy muzyk wyczysta stare i zawsze te same „prawdy zawodowe” — czy dotyczą one prymitywu, czy też szczytów twórczych. Artykuł prof. Romanisiana „o technice wokalnej wobec środków muzyki mechanicznej” i dział sprawozdawczy zamknięty ten numer, który sygnalizuje wszystkim miłośnikom i amatorom muzyki.

Zygmunt Mycielski

• Książki • Książki • Książki • Książki •

BELETRYSTYKA

„MYSTKOWICE, WIOSKA MAŁA”

Juliana Gałaja

Spółdzielnia Wydawnicza „Książka”, Warszawa, 1948, str. t. 1 — 224, t. II — 400, t. III — 292.

Na kilka lat przed wojną ukazała się książka prof. Józefa Chalasinskiego pt. „Młode pokolenie chłopów”. Na ołbrzymim materiale ankietowym, obejmującym „kilka tysięcy pamiętników i zyciorysów, opartych Chalasinski swoje studium nad młodą wsi polskiej. Wstrząsająca książka socjologa w sposób oczywisty obrazowała przechodzenie młodego pokolenia chłopów na pozycję coraz bardziej zdecydowanego radykalizmu. Była to książka naukowa, który teksty przedrukowywanych odpowiedzi chłopów na ankietę opatrzył beznamiętnym naukowym komentarzem. Mimo to czytało się ją jak ciekawą powieść. Nie jest to chyba przypadek, że właśnie w pierwszych latach wznawiania działalności wydawniczej ukazała się książka, która to, co socjolog udowodniła tokiem naukowego wywodu, zaświadcza powieściową konstrukcją gromady ludzkiej. — Książka, która obrazuje to, co ukazywał socjolog. Mowa tu oczywiście o książce Juliana Gałaja „Mystkowie wioska mała”.

Gałą maluje obraz środowiska

tunku prozy, a jednak — czyta się tę ciekawą powieść jak pasjonującą naukowe studium. Autor opowiada w niej koleje całej gromady — wsi łowickiej, począwszy od lat sprzed pierwszej wojny światowej, aż po czasy bezpośrednio poprzedzające wrześniowy upadek Polski. Z ostatnio czytanych przez radio przygotowywanych do druku części książki widzimy, że wydarzenia tej powieści podobnie jak w pierwszych trzech wydanych częściach, opisujących tak dawne zdawało by się lata — towarzyszą naszym dniom. I w tych bowiem częściach autor zaświadcza, że rewolucja dokonana w naszych oczach była wyznaczona w sposób nieuchronny najpierw przez zaciętą ślepotę zaborczych rządów, potem przez zgubne praktyki społeczne i gospodarcze sanacji.

W książce tej uderza historyczne ujęcie tematu — każdy wątek życiowy i ideologiczny prowadzony jest przez całe wielkie okresy czasu, które zawsze w sposób swoisty — inny dla każdego okresu — udowadniają rację stanowiska autora. Książka Gałaja jest nie tylko powieścią ciekawą, odznacza się przy tym odpowiedzialnością sądu rzadko spotykaną w literaturze beletrystycznej. Krytycy, którzy skazywali na brak formalne, na niedostatek akcji w tej powieści, zlekceważyli widocznie wielość ujęć, zmyleni właśnie tą świeżością ujęcia tematu, polegającą na tym, że książka pozbawiona jest głównego

bohatera, który tradycyjnie skupiając na sobie uwagę czytelnika, w istocie rozprasza ją, kierując na anegdotę zamiast na sens wynikający z całej książki.

Komu nie obca jest ciekawość, jak żyła i dojrzewała do wielkiej reformy wieś polska, ten niech sięgnie do Gałaja. Kto chce się nauczyć prawdy o przemianach wewnętrznych chłopkiego działacza — ten niech też sięgnie do Gałaja. A kto chce po prostu przeczytać ciekawą powieść — ten niech sięgnie do Gałaja

Roman Bratny

„KRYSZTAŁOWA KULA KRZYSZCIOFA KOLUMBA”

Wandy Wasilewskiej

„Prasa Wojskowa”, Warszawa, 1948, str. 90 i 2 nl.

Zyciorysy i romanse biograficzne mają niepowodzenie znaczenie w ożywianiu czytelnictwa, gdyż te formy literackie posiadają wiele uroku dla odbiorców literatury i stanowią doskonałe środki przekazywania wielu zagadnień o dużej wartości ideologicznej lub wychowawczej — zarówno młodzieży, jak i innym kategoriom czytelników. „Kryształowa Kula Krzysztofa Kolumba” Wandy Wasilewskiej dzięki wyjątkowemu zaletom zajmuje w tym typie utworów nieposled-

nie miejsce. Stanowi ona właściwie całkowity zyciorys Krzysztofa Kolumba, ale punktem wyjścia dla autorki i sprawą przyczyn, które pchnęły Kolumba na jego drogę żeglarską — jest okres młodości. Dążenie do sławy i tęsknota za nieznanym i za przygodą — są istotną treścią książki. Dzięki temu staje się ona od razu bardzo bliska młodocianemu czytelnikowi, którego pociąga przygoda, podróż, egzotyzm. Morał książki (pożytek społeczny) podróży odkrywczych jest decydujący dla ich znaczenia i nagradza gorzyc sławy, cierpienia, oraz ostaje się jako jedyny istotnie wartościowy bodziec wszelkich pocynań i dalsze koleje bohatera, mimo że pokazane są w skrócie, stają się w ten sposób zupełnie czytelne.

Proza Wasilewskiej ma dużo poetyczności, jest w niej rytm i kompozycja o symetrycznej budowie, powtarzających się częściach, co potęguje napięcie emocjonalne i uprzedza pewnych sytuacji i nastrojów. Jej sposób oddawania barw, światła, wody, powietrza ma ogromną siłę sugestywną, która wynika z wielkiej prostoty wyrażenia i ostrego, wnikliwego widzenia barw Południa, których nasyconie jest odmienne od naszego. Walory literackie książki, dostępne dla młodzieży, czynią morał społeczny bardziej czytelnym a upór, z jakim Kolumb dąży do celu, przekonującym.

Aniela Mikucka

Wydawnictwa Ossolineum

Dzięki troskliwej opiece narodu i wydanej pomocy finansowej Rządu, Ossolineum zadołowało się we Wrocławiu na dobre. Zbiory biblioteczne, umieszczone w nowym przestronnym gmachu na Szewskiej, służą od wielu miesięcy wrocławskiemu polonistom, historykom i studiującym młodzieży. Bogate zaś zbiory rękopiśmienne, całkowicie uporządkowane i ustawione w pięknej zabytkowej sali, oddają cenne usługi nauce.

Przeniesiona na nowy teren zasłużona placówka kulturalna wznawia w pełni swoją działalność, zgodnie z 130-letnią tradycją zajmującą poważne miejsce jako księgozbiór naukowy literacki i historyczny, warsztat pracy i jako wydawnictwo.

Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich jest organiczną częścią tej instytucji. Jego działalność łączy się ściśle z charakterem zbioru, jak również z naukową działalnością Ossolineum.

Praca biblioteczna - wydawnicza Ossolineum skupia się w tej chwili na druku przygotowywanego już przez współpracowników Biblioteki „Inwentarza Rękopisów Zakładu Narodowego im. Ossolińskich”. Dział rękopiśmienny wyszedł z pożogi wojennej stosunkowo najszybciej i przedstawia dziś dla nauki polskiej wartość bezcenną. Opublikowanie zawartości tych zbiorów było jednym z pierwszych postulatów wydawnictwa. Katalog Kętrzyńskiego wydany jeszcze w latach 1881 — 98 obejmował zaledwie 1500 pozycji. Inwentarz późniejszy, wydany przed wojną na cyklisylu, należał do rzadkości i nie odpowiadał obecnemu stanowi posiadania (doprowadzone do poz. 6600). Inwentarz przygotowywany obecnie wykaże ok. 10 000 rękopisów i wydzie w dwóch sporych tomach (ok. 60 arkuszy druku) już we wrześniu roku bieżącego, z okazji VII Powstania Zjazdu Historyków Polskich we Wrocławiu.

W roku bieżącym Ossolineum wznowiło też monumentalną 16-tomową edycję „Dzieł Wszystkich” Juliusza Słowackiego pod redakcją Juliusza Kleienera. Wydawnictwo to zapoczątkowane w r. 1922 nie zostało doprowadzone do końca: brakło tomów VIII, XII, XIII, XIV, XV i XVI. Obecne tomy to zostaną opracowane i wydane, ukaże się również poprawiona i uzupełniona reedycja tomów wydanych przed wojną.

W związku ze zbliżającą się setną rocznicą śmierci Słowackiego Ossolineum rozpoczęło prace wydawnicze nad popularnym, 12-tomowym wydaniem jego dzieł przygotowanym przez Towarzystwo Literackie Adama Mickiewicza pod redakcją Juliana Krzyżanowskiego. Całość tego wydania ukaże się w pierwszej połowie przyszłego roku. W najbliższym czasie ogłoszona zostanie subskrypcja na to masowe wydawnictwo.

Ossolineum przystępuje również do ponownego przerobienia i uzupełnienia wydania „Dzieł Wszystkich” Aleksandra Fredry, którego sześć tomów wyszło pod redakcją Eugeniusza Kucharskiego w latach przedwojennych. Krytyczne, naukowo opracowane teksty tych wydawnictw oparte są w znacznej mierze na autografach przechowywanych w zbiorach Ossolineum.

Dzięki tym zbiorom możemy przystąpić do pierwszego w dziejach polskiej literatury pełnego wydania dzieł Ignacego Krasickiego pod redakcją Tadeusza Mikulskiego. Szczególną wagę będą mieć tomy zawierające korespondencję Księcia Biskupa Warmińskiego, zbieraną pieczołowicie w ciągu wielu lat przez dyrektora Ossolineum śp. Ludwika Bernackiego, a opracowaną obecnie przez Tadeusza Mikulskiego.

Z literatury polskiej przygotowuje Wacław Borowy nowe, zrewidowane i uzupełnione wydanie „Antologii liryki polskiej”.

Niezależnie od pozycji powieściowych w „Bibliotece Narodowej” Ossolineum rozpoczęło cykl wznowień powieści polskiej „Madonna Busowska” Władysława Łozińskiego. W opracowaniu Wiktora Hahna zaczyna się wkrótce druk Edmunda Chojackiego „Alchadara” w 4 tomach, „Annuncjata” Zygmunta Kaczkowskiego, Jana Lama „Głowy do pozłoty”, Walerego Łozińskiego „Szaraczek i karmazyn” oraz „Zaklęty Dwór”. Przygotowuje się do druku J. I. Kraszewskiego „Latawiec czarnoksiężka” w opracowaniu K. W. Zawodźńskiego, utwory powieściowe Władysława Łozińskiego „Koroniarza w Galicji” Jana Lama i wiele innych powieści.

Zgodnie z dawną i świetną tradycją Ossolineum podejmuje też wydawnictwo o charakterze historyczno-literackim i badawczym. Ukazał się „Zarys nowszej literatury ludowej” Stanisława Pigonia, jak również w jego przygotowaniu pierwszy tom „Wyboru pisarzy ludowych” obejmujący publicystów i pamiętnikarzy. W druku jest tom II zawierający poetów i gawędziarzy.

W najbliższym czasie zainicjuje Ossolineum wydawnictwo seryjne „Wrocławskich studiów literackich” pod redakcją Tadeusza Mikulskiego. Tom pierwszy studiów: „Dzieje polonistyki wrocławskiej” T. Mikulskiego oraz tom drugi, poświęcony badaniom autografów liryków Leopolda Staffa, pobra Huberta Drapelli ukażą się w najbliższych miesiącach. W tej serii Ossolineum zamierza wydawać co najmniej po dwa tomy rocznie.

W związku z jubileuszem Mickiewicza, wydane jeszcze w roku bieżącym książki Stanisława Kolbuszewskiego o „Panu Tadeuszu”, a w związku z rocznicą śmierci Słowackiego monografia o nim pobra Wiktora Hahna. W opracowaniu Antoniego Knota ukaże się „Antologia poezji polskiej 1848 roku”.

Wyszedł już tom I „Zarysu historii literatury polskiej” Juliusza Kleienera Tom II doprowadzony przez Kazimierza Wykę do ostatecznej postaci, jest w druku. Równocześnie prowadzi się prace przygotowawcze nad wydaniem nowego dwutomowego zarysu dzieł literatury polskiej, przeznaczonego do użytku szkolnego.

W dziedzinie historii zawierało Wydawnictwo wiele wiążących umów. I tak: Stefan Kieniewicz opracowuje wielką monografię źródłową „Ruch chłopski w r. 1846”, opartą o nowe nieznane źródła z archiwów wiedeńskich. Roman Grodecki przygotowuje „Dzieje handlu”. W toku wydania jest druga, uzupełniona edycja „Historii społeczno-gospodarczej średniowiecza” Stefana Ingłota oraz dwie wielkie monografie specjalne: prawnohistoryczne dzieło Bogusława Leśnodorskiego o konstytucji Trzeciego Maja i książka zmarłego niedawno historyka Edmunda Długopolskiego o Władysławie Łokietku. Przygotowuje się również do druku studium Władysława Czaplińskiego o flocie Władysława IV.

Ogromne znaczenie dla nauki mieć będą dwie bibliografie: „Bibliografia bibliografii polskiej” Wiktora Hahna, doprowadzona do r. 1945 oraz uzupełnienia (1928 — 1948) do „Bibliografii pamiętników” Edmunda Maliszewskiego.

Specjalny dział w planie wydawniczym Ossolineum obejmują pamiętniki w druku znajdujące się obecnie „Wspomnienia” Jana Nepomucena Janowskiego jednego z twórców manifestu demokratycznego, publicysty i polityka. Autograf cennych przyczynków do dzieł naszej Wielkiej Emigracji leżał dotychczas w Bibliotece Jagiellońskiej. Wspomnienia te ukażą się drukiem jeszcze w ciągu bieżącego roku w opracowaniu Mariana Tyrowicza.

Tak samo w druku znajdują się pamiętniki krakowskiego lekarza Fryderyka Hechla, pt. „Kraków i ziemia krakowska w 1848 roku”, jako uzupełnienie do wydanych już dawniej dwu tomów tego pamiętnika przez Towarzystwo Miłośników Historii Medycyny. Tom o roku 1848 opracowują prof. Szumowski i Henryk Barycz.

Karol Estreicher przygotował dla Ossolineum pamiętniki swego dziadka Karola, bibliografa, teatrologa, jednej z najciekawszych postaci Krakowa z połowy ubiegłego stulecia.

W przygotowaniu znajduje się również całość pamiętników J. U. Niemcewicza łącznie z niedrukowanym „Dziennikiem pobytu za granicą” oraz scalone „Pamiętniki” Kazimierza Władysława Wojcieckiego, rozrzucone dotychczas po czasopiśmie, a odnoszące się do życia obyczajowego stolicy w pierwszej połowie XIX wieku.

Na VII Zjazd Historyków Polskich we Wrocławiu we wrześniu br. przygotowuje Wydawnictwo druk bibliofilski. Będzie to luźno związany z pamiętnikarstwem poemat Bohusza Zygmunta Steczyńskiego „Śląsk”, w opracowaniu Franciszka Pajackowskiego (autografy są własnością biblioteki Ossolineum).

W tym samym czasie wyda również „Wspomnienia Ossolińskie” śp. Stanisława Lempickiego.

Ossolineum podejmuje także reedycję „Dzieł sztuki” wydanych przed wojną w opracowaniu zbiorowym profesorów Gasiorowskiego, Gebarowicza, Szwałowskiego, Tatarkiewicza, Zarnowskiego i J. Żurawskiego. Nowe to wydanie, zmienne i uzupełnione zapewni poważną lukę na naszym rynku wydawniczym.

W przygotowaniu do druku znajduje się również duże dzieło Władysława Mołoty: „Sztuka Słowian”. Ogarnia ono całość wielkiego zagadnienia i stanowi pierwsze jego ujęcie w nauce światowej.

W bieżącym jeszcze roku ujdzie studium Mieczysława Opałki „Drzeworyt w czasopiśmie XIX stulecia” z cennym słownikiem polskich drzeworytników.

Wzniesiona w roku 1947 Biblioteka Narodowa przyniosła dotąd w Serii pierwszej 9 wznowień i 3 nowe tomy: „Młoda Polska” w opracowaniu Tadeusza Boya - Zeleńskiego i „Rok 1848 w Polsce” wybór źródeł w opracowaniu Stefana Kieniewicza, J. T. Kraszewskiego „Jermola” w opracowaniu Juliana Krzyżanowskiego.

W Serii II poświęconej arcydziełom literatury obcej „Biblioteka Narodowa” przyniosła dotąd 5 wznowień (m.in. Mollera i homerowską „Iliadę” w druku jest w tej chwili „Odyseja”) Nowy tom „Jugosłowiańskiej epiki ludowej” w opracowaniu Mariana Jakóba rozpoczyna szeroko zakrojony dział opracowań z literatur słowiańskich. Prócz tego przewiduje się wznowienie 10 dawnych tomów i wydania kilku nowych, jak tłumaczenia „Bajek” La Fontaine’a, „Liryków” Heinego, „Wyboru liryków” Swinburne’a i t.

Jak wynika z tego krótkiego omówienia, oficyna Ossolineum mimo tak późnego startu, wchodzi już w pierwszy rok swoich poczyną z poważnym dorobkiem intelektualnym w odradzającą się z tak wielką prędkością naukę i kulturę polską.

hd

Z teki dr. Prota Sowizdrzała

Socjologiczna metoda

Ks. Jan Sieniński oddał następującą pochwałę salonowi hr. Ankwicza w Rzymie:

„Salonowi temu przypisać trzeba narodzenie się talentu powieściopiskarskiego w H. Rzewuskim. Pamiętniki Soplicy były naprzód opowiadane na wieczorach na Via Mercede, na których zaczęto zmuszać 40-letniego białą, aby spisywał to, co opowiada. Z trudnością mu to przychodziło i kil-

ka lat jeszcze upłynęło, zanim przysłał Ankwiczm rękopis przed wydrukowaniem „Pamiętników (!) Soplicy”. Gdyby nie wieczory Ankwiczy, Rzewuski byłby prawdopodobnie nie pisał. Stefan Garczynski pozbył się u nich melancholii i mizantropii, Odyniec spoważniał, a 18-letni Z. Krasiński, będąc tam jak w rodzinnym domu, zajął pierwszym blaskiem genialnych myśli...”

Metoda psychologiczna

Także Mickiewicz był w tym salonie, któremu literatura polska zawdzięcza narodzenie się tylu sław. Nawet flirtował z córeczką hr. Ankwiczy. Ks. Jan Sieniński daje następujący komentarz psychologiczno-literacki:

„Uczucia serca swego z tej epoki opisał Mickiewicz w uczuciach Jacka

Soplicy (Zbytecznym byłoby dodawać, że podobnie jak w części 4-tej „Dziadów” tak i w „Panu Tadeuszu” artysta dodał rysy, których w rzeczywistości nie było i np. oca Ewuni nie zabił, podobnie jak Jacek w poemacie)”. (Ewunia”. Lwów 1888, str. VII i 43)

Podał do druku: Wacław Kubacki



„Monsieur La Souris”

film francuski

Mimo „ogórków” „Film Polski” dał na ekrany ciekawą i udaną próbę połączenia dwu przeciwnych gatunków filmowych: sensacyjnej komedii i dramatu. Trudno mi bowiem inaczej nazwać obraz, osnuty na kryminalnej fabule, której ośrodkiem jest stary człowiek-włóczęga, patrzący na świat zdziwionymi oczyma dużego dziecka. Postać tytułowa jest wielką kracją Raimu. Zdania wygłaszane przez niego zawierają głęboką filozofię życia, która wzrusza właśnie swą bezpośredniością i szczerością.

Są w tym filmie sceny głęboko dramatyczne ukazujące w sposób wstrząsający bezradność starca-nędzara wobec potężnej maszyny śledczego prawa, wobec potęgi pieniądza czy okrucieństwa ludzkiego. Tym trudniej pojąć dlaczego właśnie te sceny większość widzów przyjmuje huraganem śmiechu. Reakcja sali jest czasem frapująca: miało być się niekiedy ochotę poświęcić recenzję raczej ludziom patrzącym na ekran niż oglądanemu przez nich filmowi.

Z dobrodusznego gódnictwa tego wykołajca, przebiega wyraźnie groza wielkiego miasta — obojętność na ludzką niedolę. Między wspaniałymi samochodami, między rozbawianymi ludźmi, drepcze przed wejściem do restauracji stary człowiek Nikomu nie jest potrzebny; przepędza go policjant, każdy go lekceważąc „tyka”, choć dzieje się to w kraju, gdzie forma „vous” jest ściśle przestrzegana. Przybadek rządzi losami „Monsieur La Souris”. Przypadek pozwala mu na odkrycie morderstwa i mordercy. Los każe mu jednak po tych wszystkich przejściach wrócić na śmietnik, pograżyć się znowu w beznadziejnej nędzy, od której chciał uciec. Reżyser Lacombe umiał podkreślić tę tragedię równie umiejętnie jak z tej przeróbki powieści Jerzego Simenona wydobyci jej niewątpliwie momenty humorystyczne. Reszta zespołu aktorskiego — dobrze zgrana, na równym poziomie. Intryga poprowadzona do końca, trzymająca widza w napięciu.

Lucjan Wolanowski

KORESPONDENCJA

JESZCZE O DR. SCHREIBERZE

Do Redaktora „Odrodzenia”

Z prawdziwym zadowoleniem przeczytałem w 27 nr „Odrodzenia” wzmiankę o dr. Ignacym Schreiberze, zamieszczoną przez Stawomira Fofalskiego z Częstochowy. Mam wyrzuty sumienia, że zapomniałem podać nazwisko dr. Schreibera prof. Olszewiczowi, kiedy zbierałem materiały do listy straci kultury polskiej. Znałem bowiem dobrze dr. Schreibera. Znajomość naszą zaczęła się w 1932 r., kiedy bezpośrednio po ukończonych studiach objąłem posadę nauczyciela historii w I gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza w Częstochowie. Dr. Schreiber uzupełniał wówczas etat zajmowany w II gimnazjum im. Romualda Traugutta w naszym zakładzie, ucząc języka polskiego w jednej z klas. Dzięki wspólnym zainteresowaniom naukowym i pedagogicznym znajomość naszą zamieniła się wkrótce w serdeczną przyjaźń, a była ona tym mocniejsza, że pogłębiał ją podobny światopogląd.

Dr. Schreiber był nieprzeciętną jednostką w częstochowskim świecie pedagogicznym, o dużej wiedzy fachowej i głębokim intelekcie. Równocześnie był z natury bardzo nerwowym; w rozmowach ze mną

zdradzał nieraz objawy skrajnego pesymizmu, zwłaszcza jeżeli chodziło o sprawy polityczne i szybko wzrastający niemiecki hitlerizm. Dr. Schreiber wiele rzeczy trafnie przewidywał, niestety nie doczekał realizacji swych przewidywań dotyczących głównie pogwałcenia Niemiec i zwycięstwa idei demokratycznych. Przypuszczam, że jego śmierć samobójcza, która nastąpiła w chwili wkraczania Niemców do Częstochowy, była wynikiem właśnie owego załamania psychicznego, nie można bowiem posiadać natury takiej jak dr. Schreiber o jakiś lek przed prześladowaniami ze strony hitlerowców ze względu na żydowskie pochodzenie. Wiadomość o jego śmierci, przywieziona mi przez jednego z naszych wspólnych uczniów, przysłałem z wielkim bólem.

Uprzejmie proszę o podanie do wiadomości ogółu tych paru uwag, choć tą drogą spłacić przynajmniej w części dług wdzięczności, jaki za ciągłem wobec dr. Schreibera, korzystając wiele z jego dorobku życiowego. Może uwagi moje zachęca i innych, a zwłaszcza uczniów dr. Schreibera, do podania również swoich o nim wspomnień.

Tadeusz Słowikowski (Kraków)

W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH

»CO TYDZIEŃ POWIEŚĆ«

Janusz Meissner
Kornel Makuszyński

WYDAWNICTWO „PRASA WOJSKOWA”

LITERATURA PIĘKNA

ANTOLOGIA WALKI

1939 — 1945

Poezje

str. 227 zł. 590 —

Janina Bromewska

O CZŁOWIEKU, KTÓRY SIĘ

KUŁOM KŁANIAŁ

str. 122 zł. 150 —

Franciszek Fajtl

ZESTRZELONY

str. 216 zł. 270 —

Kazimierz Gozdziowski

NA KURSIE 270°

str. 64 zł. 80 —

G. Linkow

WOJNA NA TYŁACH WROGA

str. 296 zł. 400 —

Janusz Meissner

„WARSZAWA” — KURS NA

BERLIN

str. 232 zł. 200 —

J. Piorkowski

ŻYCIOREK WYKUTY KIŁOFEM

str. 64 zł. 80 —

J. B. Priestley

ZACIEMNIENIE W GRETLEY

str. 282 zł. 400 —

Jerzy Pytlakowski

FUNDAMENTY

str. 460 zł. 670 —

Wanda Wasilewska

KRYSZTAŁOWA KULA

KRZYSZTOFA KOLUMBA

str. 86 zł. 90 —

Wanda Wasilewska

LEGENDA O JANIE Z KOLNA

str. 128 zł. 120 —

P. Werszyhóra

LUDZIE Z CZYSTYM

SUMIENIEM

str. 472 zł. 650 —

WIERZĘ I PIĘŚNI O ARMII

RADZIECKIEJ

str. 128 zł. 180 —

WOJSKOWOŚĆ

WOJSKO POLSKIE 1939 — 1945

str. 340 w opr. pl. zł. 1070 —

LUDZIE I ARMII

str. 340 zł. 500 —

PRZEWODNIK PO MUZEUM

WOJSKA

str. 192 zł. 200 —

ARMIA RADZIECKA

str. 152 zł. 160 —

O GEN. KAROLU

ŚWIERCZEWSKIM

str. 32 zł. 40 —

A. Wolkow

SAMOLOTY W WALCE

str. 323 zł. 430 —

POLITYKA

Włodzimierz Brus

OD WERSALU DO TRIZONII

str. 128 zł. 180 —

Engelbrecht i Hanighen

HANDLARZE ŚMIERCI

str. 376 zł. 400 —

Jermaszow

POLITYKA WALL STREET

str. 176 zł. 230 —

FALSZERZE HISTORII

str. 80 zł. 60 —

ZSR w CYFRACH

str. 32, 20 map i wykresów zł. 80

W. Brytania w CYFRACH

str. 32, 20 map i wykresów zł. 80

USA w CYFRACH

str. 64, 45 map i wykresów zł. 148

SPORT

Józef Pieter

TESTY UZDOLNIEŃ

RUCHOMYCH

str. 61 zł. 250 —

Aleksander Reksza

PRAWDZIWY SPORT

str. 48 zł. 280 —

POPULARNA BIBLIOTEKAZKA

SPORTOWA

Zygmunt Weiss

BIEGI KRÓTKIE

str. 48 zł. 80 —

Wacław Sidorowicz

BIEGI ŚREDNIE

str. 80 zł. 100 —

Wacław Sidorowicz

BIEGI DŁGIE

str. 8 zł. 100 —

Wacław Sidorowicz

HIGIENA SPORTU

str. 48 zł. 65 —

Walenty Klyszejko

KOSZYKÓWKA

str. 43 zł. 100 —

Zygmunt Bielczyk

NARCJARSTWO

str. 43 zł. 80 —

Roman Roszko

UCZYMY SIĘ PLYWAC

I TRENOWAC

str. 72 zł. 120 —

Wiro-Kiro

ZAPASY I SAMOOBRONA

str. 48 zł. 75 —

ROŻNE

J. Perelman

MATEMATYKA NA WESOŁO

str. 160 zł. 230 —

MAPA EUROPY Z MAPKA

POLSKI

1:12 000 000

zł. 50 —

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Ekspedycja: W. K. W. — Warszawa

Krak. Przedm. 11 PKO i 8000

Na kawiarnianym Parnasie



rys. Karol Baranicki

Masa, to moja pasja! Szczególnie masa tortowa